

Artur Greiser
król kraju Warty

Władysław
Bartoszewski

Na tropie
oblawy

poszukiwania



Nr 03/2018 (42) marzec 2018
www.poszukiwania.pl

Skarb
gen. Samsonowa

Redaktor naczelny:

Rafał Kruk
kroku@poszukiwania.pl

Zespół redakcyjny:

Weteryna
Mariusz Bąk
Marek Kulig
Niuniek
Tom
Robert Winkler

Współpraca:

Yedyny
Andrzej Szutowicz

**Zdjęcie na okładce
i zdjęcia w artykułach,
o ile nie zaznaczono inaczej:**

archiwum Portalu
Poszukiwania.pl

Reklama i Marketing:

redakcja@poszukiwania.pl

Redakcja:

redakcja@poszukiwania.pl

**Reprodukcja i przedruk
wyłącznie za zgodą autora.
Gazeta działa na zasadach
dziennikarstwa obywatel-
skiego otwierając swoje łamy
dla każdego autora.**

**Redakcja zastrzega sobie
prawo do redagowania
i skracania dostarczonych
tekstów.**

**Redakcja nie ponosi
odpowiedzialności za
treść reklam i artykułów
sponsorowanych.**

SPIS TREŚCI

4	Skarb Samsonowa	49	Amunicja strzelecka. Francja cz.2
7	Na tropie obławy	52	Marzec w Legnicy
11	Zbadać mowę pogardy	58	Początki oporu Wielkopolan przeciwko hitlerowskiemu okupantowi
13	Starożytne zagłębienie rzymskich weteranów	66	Polskie komisje poborowe w Kazachstanie, Uzbekistanie i Kirgizji
15	Długa historia trumien egipskich	68	Sejm Niemy
17	Owady mogą zmieniać bieg historii	73	Ślub Jadwigi Andegaweńskiej z Władysławem Jagiełłą
19	Zabytki nadgryzione nie tylko zębem czasu	77	Zamach AK na gen. Franza Kutscherę
22	Zmiana klimatu w dawnej Polsce	79	Zamach na cara Aleksandra II
24	Gestapo po roku 1945	81	Hilux spotyka Gladiatora
25	Mord na Wołyniu	83	Tutaj rozmiar ma znaczenie – SUV-y
28	I pokój toruński	87	Ostatni Żuk z FSC w Lublinie
30	Artur Greiser król kraju Warty	89	Latarki Black Eye
34	Władysław Bartoszewski	91	Selfiestick 2.0
36	Monety Zygmunta II Augusta 1545-1572 cz.4	93	Extreme Media
43	Wojenne historie Danuty Szaflarskiej		
46	Utworzenie getta łódzkiego		

Skarb Samsonowa



Czy skarb generała Samsonowa istniał ?? To pytanie zadaje sobie każdy poszukiwaczy i miłośnik tajemnic historii, który zetknął się choć raz z tematem. Nie inaczej było też u mnie.

Kilka lat temu otrzymałem maila. Podobnych wiadomości przychodzi całkiem sporo. Ludzie widzą zatopione lub zakopane czołgi, ich dziadkowie byli w podziemiach łączących zamek lub kościół z innym obiektem oddalonym o 5 km lub też wiedzą, gdzie jest zakopane złoto ale do jego odkrycia potrzebny jest sprzęt, który zbada w głąb na jakieś 5-10 m.

Tak więc otrzymany mail został przeczytany i przekierowany do reszty ekipy. Chłopaki podobnie jak ja, uśmiechnęli się pod nosem. Jednak zaskoczeniem był kolejny mail i następujący po nim telefon. Dziewczyna, która pisała wcześniej

zadała sobie trud odnalezienia innej formy kontaktu, przedzwoniła i zaczęła opowiadać historię. Nie ma co ukrywać opowieść zaintrygowała mnie, a po streszczeniu jej chłopakom zapadła decyzja, że nie ma co czekać zbieramy się i je-

dziemy na 500 km wycieczkę (i to licząc tylko w jedną stronę).

Droga w kierunku skarbu minęła nam w wymienionych humorach, no może oprócz kierowcy który siłą rzeczy nie mógł uczestniczyć w pełnej degustacji zakupionych na drogę specjałów. Po drodze w Warszawie wzbogaciliśmy nasz zespół o nowych członków i już na dwa pojazdy udaliśmy się do celu.



Wieś odnaleźliśmy bez problemu, podobnie jak dom autorki maila. W domu zaskoczenie – czekała na nas cała rodzina. Przełamując pierwsze lody, przedstawiliśmy się, opowiedzieliśmy o przeprowadzonych akcjach oraz o tym, że pewne miejsca ukrycia skarbów sprawdzają się maksymalnie w 1%. Na to pierwszy raz od naszego przyjazdu odezwała się matka dziewczyny i zdradziła nam rodzinną tajemnicę.

Podczas wojny (pierwszej światowej) do wsi, w której mieszkał jej dziadek nie zaglądały żadne armie. Pewnego ranka dziadek udając się na pole, niedaleko za wsią zobaczył nieprzytomnego człowieka. Był to żołnierz armii rosyjskiej. Dziadek zabrał go do domu, gdzie pielęgnowany i dobrze traktowany wyzdrowiał na tyle, że mógł

opowiedzieć skąd się tutaj znalazł. Otóż jego generał podczas bitwy wezwał do siebie kilku oficerów, każdemu dał plecak z rozkazem przedostania się za front i wywiezienia lub ukrycia zawartości plecaka.

Niedługo po wyznaniu ranny żołnierz zmarł. Pozostał po nim plecak, do którego dziadek zajrzał. Rodzina nie wiedziała co było w plecaku, jednak ważnym kierunkiem jest to, że po roku mieli w innej wsi nowy dom z gospodarstwem, a nie byli wcześniej majątni.

Na łożu śmierci dziadek przekazał tajemnicę plecaka swojemu jedynemu synowi. Ten zachowując ją w tajemnicy przez całe życie przekazał ją swojej córce będąc już na łożu śmierci. Dodatkowo określił gdzie została ukryta zawartość plecaka i czego należy się po jej odkryciu spodziewać. Po kilku latach od śmierci ojca, kobieta podzieliła się informacjami z dwójką dzieci, które podjęły decyzję aby ściągnąć naszą ekipę do pomocy.

Zgodnie z rodzinną legendą zawartość plecaka stanowiły srebrne i złote monety (bardzo szczegółowo opisywane przez matkę dlatego uważamy, że musiała je widzieć) oraz bardzo dużo medali wojskowych. Rodzaj monet, odznaczenia, kierunek z którego przybył ranny żołnierz, historia o generale dzielącym pułkowy skarbiec przywołały w sekundzie jedno hasło – Skarb generała Samsonowa.

Tak nabuzowani zaczęliśmy wypytywać o szczegóły i miejsce ukrycia skarbu. Zostaliśmy lekko zaskoczeni techniką ukrycia. Otóż dziadek obawiając się konsekwencji posiadania takiego majątku, jak również takiej ilości rosyjskich medali, postanowił większość skarbu ukryć w miejscu, w którym nikt go nie znajdzie, ani tym bardziej nie ukradnie. Otóż podczas budowy domu dziadek w fundamentach przygotował skrytkę, do której włożył beczkę wypełnioną uzyskanym dobrem. Rozwiązanie było pomysłowe tylko, że odcinało posiadacza przed swobodnym dostępem do depozytu, co za chwilę okazało się istotnym elementem zagadki.

Mając już wiedzę w jakim miejscu został ukryty skarb, byliśmy gotowi na rozkucie każdego sygnały w piwnicach domu, w którym przebywali-

śmy. Na ziemię sprowadziła nas kobieta tłumaczając, że gdyby chodziło o ten dom to mogliby sami prowadzić poszukiwania. Musieliśmy mieć bardzo zdziwione miny gdyż od razu wytłumaczyła w czym rzecz. Na jakimś etapie zawieruchy drugowojennej rodzina straciła dom, w którym dziadek dokonał ukrycia. Tragedii nie było gdyż dziadek przeniósł się do syna, kilka domów dalej i codziennie bacznie obserwowali czy coś się dzieje z domem czy nie.



Po jakimś czasie dom został opuszczony, następnie rozebrany i ogłoszono przetarg na działkę, którą kupił sąsiad. Na miejscu domu od dwudziestu lat rosła pszenica i to w niej właśnie mieliśmy znaleźć pozostałości domu wraz z ukrytą beczką.

Odległość od miejsca badań do domu obecnego właściciela terenu wynosiła ok. 15 m. Poza tym teren otwarty, idealnie widoczny z drogi. Należa-

RSK

ło podejść do gospodarza i zapytać o zgodę, co też uczyniliśmy. Zgodził się bez większych oporów więc wkroczyliśmy na skarbonośny teren. Od razu pojawiły się płytkie sygnały, które wybieraliśmy czyszcząc teren. Dopiero po tym wkroczyły ramy. Spokój w słuchawkach był złowrogi, jednak do pewnego momentu. Tuż przed granicznym płotem z kolejną działką rozległ się dźwięk. Wycofaliśmy się i ponowiliśmy najście ramą. Sytuacja powtórzyła się, aż serce podskoczyło do góry. Coś tam było, głęboko. Trzeba kopać tylko, że tego nie da się już ukryć. Pojawił się problem, z którym wróciliśmy do zlecającej nam rodziny.

Przedstawiliśmy sytuację. W naszej opinii działka, która należała kiedyś do ich rodziny faktycznie coś kryje. Jest sygnał, nie ma za to warunków i możliwości potwierdzenia dokładnie źródła sygnału. W naszym odczuciu powinni dogadać się z obecnym właścicielem aby wydobyć depozyt. Widać było, że nie jest to im na rękę. Jednak my nic więcej nie byliśmy w stanie zrobić. Rozstaliśmy się, umawiając się, że zadzwonią jak będą dogadani z sąsiadem.

Czekaliśmy długo, nawet bardzo długo gdyż można śmiało powiedzieć, że na telefon lub maila od nich czekamy do dnia dzisiejszego. W naszym odczuciu w momencie gdy osiągnęli porozumienie z obecnym właścicielem, sami przystąpili do działania. Co gorsze, raczej znaleźli to czego szukali gdyż inaczej dzwoniłoby o ponowną pomoc.

Na tropie obławy



Pewnego sobotniego poranka spotkaliśmy się całą czwórką przed wysłużonym już samochodem wyprawowym. Pojazd noszący ślady wielu wyjazdów zakupiony został za wspólne pieniądze 3 lata temu i od tamtego czasu dzielnie woził nas po kraju.

Tym razem na cel wzięliśmy pewien teren, o którym słyszeliśmy że w końcówce lat 40-tych UB rozbiła oddział byłych żołnierzy AK. Temat został nam dostarczony przez mieszkańców wsi na terenie, której prowadziliśmy rok wcześniej poszukiwania zaginionego skarbu z okresu powstania styczniowego. Oprócz relacji mieszkań-

ców nie udało znaleźć się żadnego potwierdzenia w literaturze. Do archiwum IPN drogi nie mieliśmy otwartej, poza tym kwerenda zajmowała więcej czasu niż wizja lokalna.

Droga do znanej nam już dobrze wsi mijała powoli, każdy z nas na swój sposób układał sobie plan działania. Omawiając wszystko setki razy przez ostatnie miesiące nie udało nam się ustalić jednego sposobu prowadzenia prac. W związku z tym podjęliśmy decyzję, że przez cztery wyprawy sprawdzimy pomysł każdego z członków grupy – chyba, że wcześniej uda nam się potwierdzić miejscową legendę.

We wsi udaliśmy się w pierwszej kolejności na spotkanie z sympatycznym sołtysem, który pomimo bardzo młodej godziny nie miał oporów żeby zapytać czy chcemy spróbować jego znanej w całej okolicy nalewki. Trochę trwało zanim przetłumaczyliśmy, że musimy mieć świeże spojrzenie na prowadzone badania. Zrozumiał w części, tzn. schował kieliszki i wyciągnął cztery flaszki na tzw. drogę do lasu.



Las był celem naszego działania. Teren postanowiliśmy sprawdzać bezpośrednio od wsi, idąc dalej na północ w linii prostej do kolejnej miejscowości za lasem. Trzeba przyznać, że odległość była znaczna, a wędrówka przez las z pełnym ekwipunkiem biwakowym i machając jednocześnie wykrywaczami nie należała do tych łatwych. Planowaliśmy spędzić w terenie trzy dni, samochód bezpiecznie parkował na posesji sołtysa, a my uruchamiając wykrywacze wkroczyliśmy w las i trop nowej przygody.

Pierwsze sygnały okazały się kapslami, jednak już po kilkudziesięciu metrach od wsi teren okazał się w miarę czysty. Oczywiście trafiały się kapsle, kilka monet zgubionych pewnie przez grzybiarzy i to z okresu PRL, jedna świeca samochodowa i kilka mocno skorodowanych puszek turystycznych. Po pierwszym dniu nic nie wskazywało na fakt działania w terenie oddziały leśnych, ani tym bardziej przeprowadzenia obławy, po której powinniśmy trafić przynajmniej na kilka łusek.

Drugiego dnia po zwinięciu obozu ruszyliśmy dalej przed siebie zgodnie ze wskazaniem kompasu oraz mapy. Po godzinie doszliśmy do polany, zgodnie z mapą można też było dojechać do niej od strony leśniczówki. Sprawdzenie polany oznaczało konieczność korekty marszu, jednak

zapadła decyzja, żeby ją przejść zostawiając 2/3 obszaru do sprawdzenia w kolejnym terminie. Przechodziliśmy przez nią w ciszy, w pewnym momencie odezwał się jeden wykrywacz, za chwilę kolejne dwa, a po nich ostatni. Całą czwórką zaczęliśmy sprawdzać źródła sygnałów. Zaskoczenie nasze było duże, wszyscy stali się posiadaczami łusek. Łuski w pierwszym odruchu były odpowiedzią na nasze badania, jednak kilka sekund po odkryciu wiedzieliśmy już, że musimy szukać dalej. Otóż odnalezione łuski pochodziły z okresu I Wojny Światowej. Co prawda była nikła szansa, że można odnieść się z tym tematem do lat czterdziestych, jednak my szukaliśmy śladów bardziej charakterystycznych dla ludzi z bezpieki.

Ruszyliśmy dalej, ponownie wyciągając pierwszowojenne łuski na końcu polany. Po wkroczeniu do lasu tajemnica łusek nabrała większego sensu. Otóż w lesie można było zobaczyć jeszcze w miarę czytelne linie okopów. Pozostawiliśmy je bez sprawdzania, wiedząc już jaki będzie kolejny wniosek do WKZ. Resztę dnia spędziliśmy na wyciąganiu kolejnych kapsli, kilku gwoździ i tym razem puszek po piwie.



Ostatniego dnia, odrobinę będąc już zmęczonymi, zbadaliśmy ostatni kawałek lasu wychodząc na pola wsi leżącej za lasem. Niestety nie mieliśmy zgody właściciela pól będących na naszej drodze, a tym samym nie mieliśmy zgody WKZ na badania na tym terenie. Skorzystaliśmy jednak z nadarzającej się okazji i podeszliśmy ponownie do właściciela pola. Poprzednio nie udało się go zastać gdyż zgodnie z informacją od małżonki wyjechał na zagraniczne szkolenie, a kobieta bała się czegokolwiek podpisywać pod nieobecność męża. Tak więc zapukaliśmy raz jeszcze. Drzwi otworzył wysoki i uśmiechnięty

mężczyzna, który po naszym przedstawieniu sprawy ochrzanił nas solidnie. Okazało się, że po jego powrocie żona przekazała mu dokładanie naszą sprawę, jednak my jak ostatnie matolki zapomnieliśmy zostawić do siebie namiary. Rolnik podpisał nam wszystkie niezbędne papiery do wniosku o pozwolenie na prowadzenie badań, zadzwonił również do sąsiadów, którzy podeszli do niego i również udzielili nam zgody na działania. Na koniec dnia po zjedzeniu nad wyraz smacznego obiadu, gospodarz podwiózł nas jeszcze po samochód.

Tym razem nie udało się potwierdzić miejsca obławy. Na pewno będziemy wracali w ten teren, prowadzili rozmowy z ludźmi i prowadzili badania. Nie możemy pozwolić na zapomnienie leśnych mogił. Pamiętajcie również, że poszukiwacz to pasjonat, który zaraża ludzi swoim entuzjazmem, a oni otwierają się przed nim i opowiadają wiele ciekawych historii. Wykorzystajcie to i działajcie regionalnie aby uchronić od zapomnienia wspomnienia i miejsca pamięci.

RSK

An advertisement for 'sklep poszukiwania.pl'. The background is a close-up of a man's torso wearing a dark pinstriped suit jacket, a white shirt, and a blue patterned tie. The text 'Eksploracja i przygoda to styl życia' is written in a white, serif font across the middle. In the bottom left corner, the website name 'sklep poszukiwania.pl' is written in a white, sans-serif font.

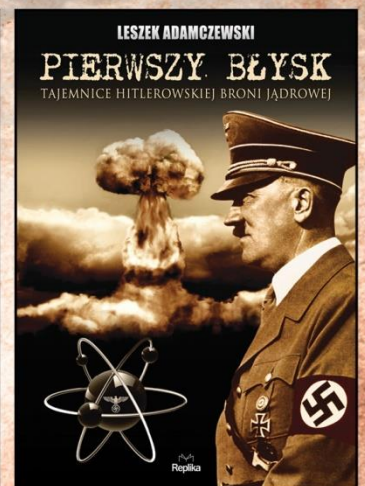
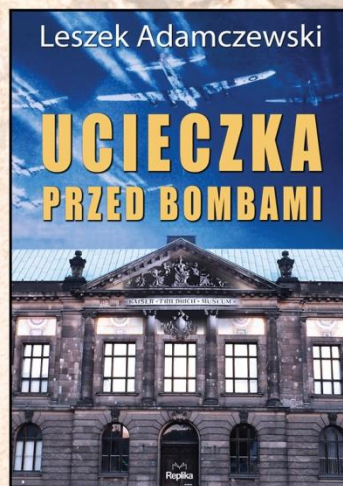
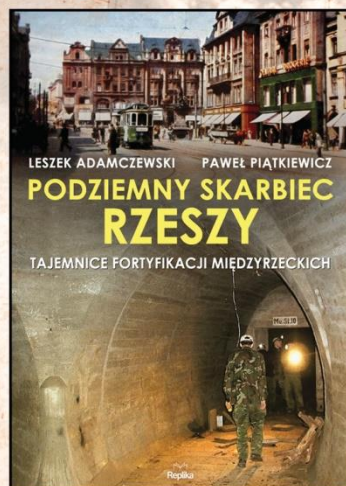
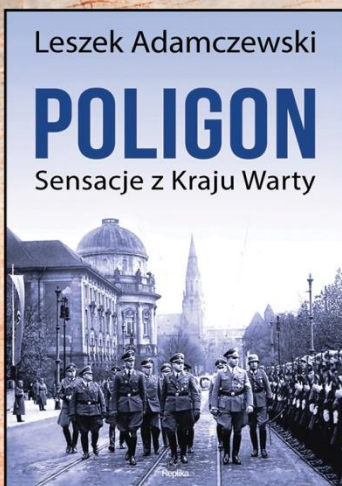
Eksploracja i przygoda
to styl życia

sklep
poszukiwania.pl

SKARBY, ZAGADKI, MROCZNE TAJEMNICE HISTORII



WKRÓTCE



Zbadać mowę pogardy



Czy pogarda wobec innych rozprzestrzenia się jak epidemia? Dr hab. Michał Bilewicz sprawdzi, jak kształtują się i zmieniają stereotypy pod wpływem wypowiedzi osób, które gardzą przedstawicielami mniejszości etnicznych i imigrantami.

W projekcie finansowanym przez Narodowe Centrum Nauki w konkursie Sonata Bis psycholog z Uniwersytetu Warszawskiego zbada rolę procesów emocjonalnych w przekazywaniu obraźliwych stwierdzeń w rzeczywistości internetowej.

"Jako użytkownicy mediów internetowych, ludzie wielokrotnie mają do czynienia z tzw. mową nienawiści - nienawistnymi komentarzami dotyczącymi imigrantów, mniejszości etnicznych czy religijnych - analizuje dr hab. Bilewicz. - Spotykając się wielokrotnie z przykładami mowy pogardy skierowanej przeciwko mniejszościom etnicznym i imigrantom, ludzie kształtują w sobie pogardliwe stereotypy dotyczące tych grup, co w konsekwencji prowadzi do ich dehumanizacji i niechęci kontaktu z ich przedstawicielami" - mówi.

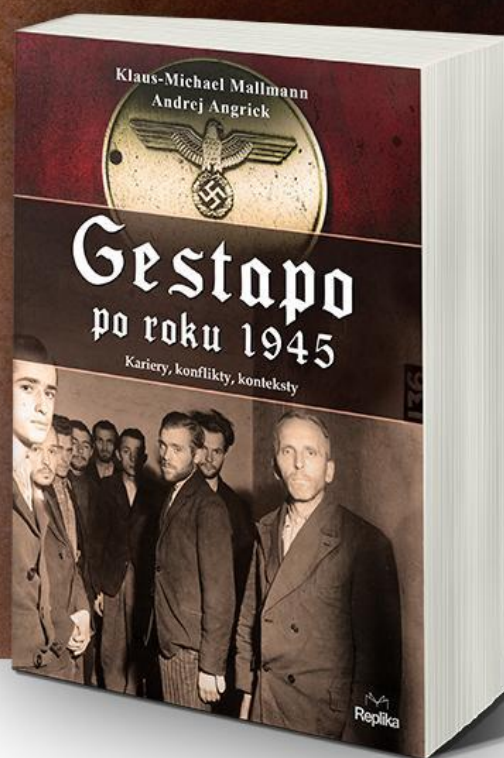
Pogarda pojawia się w momencie kontaktu z innymi, postrzeganymi jako gorsi lub nie w pełni

Gestapo po roku 1945

Kariery, konflikty, konteksty

Co stało się z członkami
zbrodniczej tajnej policji Gestapo
po II wojnie światowej?

Replika



ODKRYWCA

MHB



waterland.pl

HISTORIA
.ORG.PL

HISTORYK.PL

NIEZŁOMNI.COM

ludzy. Mowa pogardy jest jednym z rodzajów agresji werbalnej. Badacz przewiduje, że osoby eksponowane na mowę pogardy będą coraz mniej wrażliwe na podobne stwierdzenia. Z jego analizy wynika, że mowa pogardy rozprzestrzenia się w społeczeństwie i przestaje być uznawana za krzywdzącą i obraźliwą. Podobne zjawisko występuje, gdy ludzie wielokrotnie stykają się z agresją w brutalnych filmach i grach komputerowych.

"Będziemy obserwowali jak wielokrotny kontakt z mową pogardy zmienia ludzkie myślenie i zachowania. Sprawdzimy, jak po ekspozycji na mowę pogardy zmieniają się stereotypy imigrantów i mniejszości etnicznych oraz czy ludzie stają się bardziej skłonni do używania mowy pogardy w codziennej komunikacji" - wylicza dr hab. Bilewicz.

Naukowcy w badaniach wykorzystają pomiar EEG, aby sprawdzić zmiany w reakcjach na obraźliwe stwierdzenia, a także na twarze przedstawicieli mniejszości etnicznych. Dr hab. Bile-

wicz spodziewa się, że po ekspozycji na mowę pogardy mózg będzie słabiej reagował na podobne stwierdzenia, słabsze będą też wzorce aktywności mózgu związane z postrzeganiem ludzkich twarzy.

Rezultatem tego projektu będzie epidemiczny model mowy pogardy. Pozwoli on opisać i zrozumieć gwałtowne rozprzestrzenianie się mowy pogardy w rzeczywistości sieciowej. Zdaniem badacza, model może być użyteczny dla organizacji zajmujących się ograniczaniem skali mowy nienawiści i innych niebezpiecznych zjawisk związanych z korzystaniem z internetu.

PAP - Nauka w Polsce

kol/ ekr/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl
foto: Pexels

foto: Pexels

Starożytne zagłębie rzymskich weteranów



Fragmentarycznie zachowany kamień nagrobny z inskrypcją oraz nieznane do tej pory wille należące do rzymskich weteranów, którzy ok. 2 tys. lat temu zamieszkivali obecne tereny Bośni i Hercegowiny, odkryli polscy archeolodzy pracujący na tych terenach.

Archeolodzy z Instytutu Archeologii UW od 2015 r. skupiają się na badaniach w rejonie obecnej općiny (odpowiednik polskiej gminy) Ljubuški w zachodniej Bośni i Hercegowinie. Od 1. poł. I wieku przybywali tam rzymscy weterani – legionieści, obdarowywani ziemią za swój wkład wojenny przez kolejnych cesarzy.

Dlatego obszar ten szybko stał się bogaty i poddał się romanizacji.

W tym roku do polskich badaczy uśmiechnęło się szczęście - w okolicach wsi Hardomilje, na powierzchni pola uprawnego, natknęli się na częściowo zachowaną łacińską inskrypcję nagrobną w formie steli.

"Znaleziska tego typu są bardzo rzadkie. Jest to pierwsze od lat odkrycie w tym rejonie starożytnego zabytku z łacińskim napisem. Jest tym cenniejsze, że większość tego rodzaju przedmiotów jest z reguły odnajdywana przypadkiem, w trakcie prac rolnych, a ich oryginalna lokalizacja

znana jest zwykle w bardzo dużym przybliżeniu" - podkreśla w rozmowie z PAP kierownik przedsięwzięcia, Tomasz Dziurdzik - doktorant z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego. Badania prowadzone są we współpracy z Uniwersytetem w Mostarze reprezentowanym przez Mirko Rašića.



Naukowcy są pewni, że stela była elementem pomnika nagrobnego należącego do zmarłego rzymskiego weterana. Wskazuje na to dobrze zachowana dekoracja w formie fryzu z przedstawieniami ekwipunku wojskowego oraz głową Meduzy, czyli postaci z mitologii klasycznej. Tego typu ornament stosowano w I w. n.e. dla upamiętnienia rzymskich weteranów osadzonych na tym terenie w czasach panowania cesarza Tyberiusza.

"Znacznych rozmiarów pomniki nagrobne z bogatą dekoracją oraz napisami umieszczane w miejscach, gdzie mogło je zobaczyć jak najwięcej osób, podkreślały +rzymskość+, status społeczny i majątność weteranów, którzy dzięki przydziałom ziemi stali się lokalną elitą" - podkreśla Dziurdzik.

Naukowcy nie są w stanie stwierdzić, kiedy stela została rozbita. Wiadomo jednak, że już w czasach nowożytnych użyto ją jako... kamienia wyznaczającego granicę pomiędzy parcelami ziemi uprawnej.

W czasie badań polski zespół wykorzystuje również różnego rodzaju metody geofizyczne. Umożliwiają one poznanie tego, co zalega pod powierzchnią ziemi, bez jednego wbicia łopaty.

W ten sposób na stanowisku Dračevica we wsi Radišići zlokalizowali oni kilka nieznanych dotychczas dużych willi. Stało się to w miejscu, które było ponad 100 lat temu celem wykopalisk austro-węgierskiego badacza - Franjo Fiali.

"Od tamtej pory uważano - po przeprowadzeniu wykopalisk na ograniczoną skalę - że znajduje się tam osamotniona rzymska willa. Sądzono, że pełniła funkcję państwowego zajazdu drogowego, gdzie podróżujący urzędnicy mogli odpocząć i wymienić konie. Oprócz tego stacjonować mogła tam grupa żołnierzy kontrolujących ruch i zabezpieczających okolicę" - opowiada naukowiec.

Z najnowszych badań wynika, że wzdłuż starożytnej drogi ciągnęły się liczne zabudowania mieszkalne i gospodarcze - zatem w starożytności nie znajdował się tam jedynie pojedynczy budynek. Jak dodaje Dziurdzik, również opublikowany plan przebadanej wykopaliskowo przez Fiałę willi nie jest zgodny z rzeczywistością. "Zawiera poważne błędy, co może wynikać z ówczesnych, mało dokładnych metod pomiarowych" - zaznacza.

Tegoroczne badania właśnie dobiegają końca. Były one możliwe dzięki środkom uzyskanym z Narodowego Centrum Nauki. W ich ramach naukowcy stosują przede wszystkim nieinwazyjne badania geofizyczne. W ten sposób mogą poznać starożytny krajobraz tego regionu Bośni i Hercegowiny. Tamtejsze dziedzictwo archeologiczne jest słabo rozpoznane i zadokumentowane przez lokalne służby. Przyczynił się do tego m.in. konflikt zbrojny z lat 90. ubiegłego wieku. W jego wyniku system ochrony zabytków przestał działać na wiele lat.

PAP - Nauka w Polsce

Autor: Szymon Zdziebłowski

szz/ zan/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Długa historia trumien egipskich



Najstarsze trumny z terenów Egiptu mają ponad 5 tys. lat i są o kilkaset lat starsze od piramid w Gizie. Pochodzą z czasów, w których kształtowało się państwo faraonów. Badają je m.in. polscy archeolodzy pracujący w Delcie Nilu.

Jedne z najstarszych trumien znanych z obszaru Egiptu bada w ostatnich latach w Tell el-Murra zespół naukowców z Instytutu Archeologii UJ w Krakowie. Pozostałości starożytnego osadnictwa skrywa niewielkie wzniesienie, otoczone współczesnymi polami uprawnymi oraz systemem kanałów irygacyjnych. Od 2008 r. archeolodzy prowadzą tam wykopaliska w obrębie osady z 2 połowy IV i III tysiąclecia p.n.e. oraz towarzy-

szącego jej cmentarzyska z początku III tysiąclecia p.n.e.

Pierwsze trumny ceramiczne znaleziono tam już w 2011 roku. Te, które odsłonięto dotychczas, pochodzą z czasów panowania I i II dynastii, czyli z ok. 3050-2700 lat p.n.e. Są zatem kilkaset lat starsze od piramid w Gizie.

To proste skrzynie wykonane z wypalanej gliny - mówi w rozmowie z PAP badający je archeolog z IA UJ, Konrad Grzyb. Nie są to jednak typowe, kojarzone ze starożytnym Egiptem sarkofagi - te pojawiły się zdecydowanie później.

Egiptolodzy stosują czasem rozróżnienie – trumną określa się skrzynię, w której bezpośrednio umieszczano ciało. Ta wykonana mogła być z kamienia, gliny lub drewna; natomiast sarkofagiem określa się zewnętrzną skrzynię, do której czasami wkładano kolejno kilka następnych, a na końcu trumnę ze zmarłym. Słowo sarkofag wywodzi się z greki, gdzie sarkofagos oznacza "zjadający ciało", "mięsożerny". Egipskie trumny i sarkofagi wykonywano w formie prostej skrzyni - lub antropoidalnej, nawiązującej do kształtu ludzkiego ciała.

Archeolog zaznacza, że ceramiczne trumny z Tell el-Murra nie były co prawda zdobione, ale ich wykonanie związane było ze sporym nakładem pracy. Dlaczego? Bo wypalano je w całości - osobno skrzynię, a osobno pasujące do niej wieko. Najdłuższa z trumien ma nieco ponad metr długości.

"Ciało układano zgodnie z panującym wówczas zwyczajem w pozycji skurczonej, embrionalnej - często tak mocno ściśnięte, że kolana zmarłego sięgały podbródka" - opowiada archeolog. Aby zmarłego umieścić w trumnie, nieraz zapewne używano siły - w jednym przypadku archeolodzy zauważyli złamany kręgosłup. Niekiedy jednak rozmiary trumny pozwalały na umieszczenie wewnątrz, oprócz ciała, kilku elementów wyposażenia, np. jednego lub kilku naczyń. Sam zmarły mógł być zawinięty dodatkowo w matę wyplataną z trzciny.

"Na chwilę obecną nie da się stwierdzić, czy wykonywano dodatkowe zabiegi mające na celu zachowanie ciała. Do naszych czasów zachowały się wyłącznie kości, i to przeważnie w złym stanie" - dodaje.

W Tell el-Murra przebadano dotychczas 38 grobów, ale jedynie w dziesięciu, zmarłych złożono w ceramicznych trumnach. Niestety, większość trumien zachowała się fragmentarycznie. Pozostali zmarli, składani bezpośrednio w grobie, zawijani byli jedynie w maty.

„Pozostaje jak na razie pytanie bez odpowiedzi, skąd bierze się takie zróżnicowanie. Dlaczego

część osób chowano w trumnach ceramicznych, a innych nie?" – zastanawia się badacz.

"We wcześniejszych okresach zmarłych w Egipcie chowano czasami w wielkich naczyniach zasobowych. Kolejnym krokiem było pojawienie się trumien" - dodaje Grzyb. Umieszczanie zmarłych początkowo w naczyniach, a później w trumnach, mogło mieć związek z wierzeniami i charakterystyczną dla Egiptu chęcią zachowania ciała.

Trumny ceramiczne podobne do tych, jakie Polacy badają w Delcie Nilu, stosowano również w innych rejonach Egiptu w połowie IV tysiąclecia p.n.e. Posiadały one różne kształty – prostokątne (tak jak przykłady z Tell el-Murra), ale także owalne lub okrągłe. Pochówki zawierające trumny ceramiczne stanowiły zazwyczaj kilka (rzadziej kilkanaście) procent wszystkich grobów na danym cmentarzysku. "Nie jest to więc zbyt powszechne zjawisko" - uważa archeolog.

Już w okresie wczesnodynastycznym trumny wykonywano również z drewna albo wyplatano je z trzciny. Do naszych czasów zachowało się ich jednak zdecydowanie mniej, być może ze względu na materiał, który na obszarze wilgotnej Deltę Nilu okazywał się wyjątkowo nietrwały.

Z czasem trumny ceramiczne były wypierane przez odpowiedniki wykonywane z kamienia (w okresie Starego Państwa, 2686-2181 lat p.n.e.) oraz z drewna. "Popularność trumien ceramicznych zmniejszyła się być może ze względów praktycznych. Jednak trudno z całą pewnością stwierdzić, dlaczego tak się stało." - uważa Grzyb.

PAP - Nauka w Polsce

Autor: Szymon Zdziebłowski

szz/ zan/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.
Foto: Pexels

Owady mogą zmieniać bieg historii



Owady potrafiły zmieniać bieg historii. W starożytności widliszki i roznoszona przez nie malaria były powodem upadku państwa ateńskiego, owady te zatrzymały też najeźdźcze armie Wizygotów i Hunów. Natomiast wszy i roznoszony przez nie tyfus plamisty przyczyniły się do klęski wojsk Napoleona pod Moskwą.

Owady na przestrzeni dziejów nad wyraz skutecznie potrafiły przyczynić się do przegrania niektórych bitew lub wręcz klęsk całych armii – opowiada dr Radomir Jaskuła z Katedry Zoologii

Bezkręgowców i Hydrobiologii Uniwersytetu Łódzkiego.

Śmiercionośne żniwo zbierał m.in. przedstawiciel komarów – widliszek (*Anopheles albimanus*), będący nosicielem malarii. Ludzkość wiedziała o roznoszonej przez te owady chorobie co najmniej 2500 lat temu. Dowodem są m.in. przekazy Pitagorasa z 450 r. p.n.e.

"W starożytności widliszki i roznoszona przez nie malaria były powodem upadku państwa ateń-

skiego, jak również znacząco przyczyniły się do tracenia wpływów Imperium Rzymskiego na wielu podbitych obszarach" - podkreśla dr Jaskała.

Te niewielkie owady w V wieku naszej ery zatrzymały w podboju Europy armie Wizygotów (410 r.) i Hunów (452 r.). Na malarię w wieku 33 lat zmarł Aleksander III Macedoński, zwany też Aleksandrem Wielkim. To niewątpliwie miało wpływ na rozpad stworzonego przez niego imperium.

W późniejszych wiekach widliszki przyczyniły się do śmierci także innych znanych osób, tj. m.in. Rafaela Santiago, Oliviera Cromwella, George'a Gordona Byrona czy Vasco da Gamy. I choć lek na malarię odkryto już w XVI w., do dziś zabija ona setki tysięcy osób rocznie, głównie w krajach tropikalnych. "Całkowita eliminacja tej choroby jest wręcz niemożliwa, bowiem te niewielkie owady mają duże zdolności przystosowawcze do rozwoju nawet w niewielkich zbiornikach wodnych" - wyjaśnił zoolog.

Innym przykładem owadów, które odcisnęły swoje śmiercionośne piętno w historii, są krwio pijne komary egipskie (*Aedes aegypti*). Owady ten, znane z roznoszenia żółtej febry, odegrały kluczową rolę w zdziesiątkowaniu wojsk napoleońskich na Haiti pod koniec XVIII w.

Z szacunków niektórych historyków wynika, że spośród około 33 tys. żołnierzy wysłanych przez Napoleona z misją stłumienia rewolucji haitańskiej ok. 80 proc. - czyli blisko 29 tys. - zmarło w krótkim czasie w męczarniach na tę chorobę. Żółta febra zebrała także śmiertelne żniwo wśród budowniczych Kanału Panamskiego – ocenia się, że zmarło wówczas na nią ponad 53 tys. robotników.

Żółta febra, zwana też "chorobą dżungli", potrafi zabić nawet do jednej trzeciej osób na nią zapadających, a jej "toksyczna" postać zabija w ciągu dwóch tygodni aż połowę chorych.

Inne owady, wszy, przyczyniły się zaś do jednej z najbardziej spektakularnych klęsk militarnych w czasach nowożytnych - porażki wojsk Napoleona pod Moskwą. Wojska napoleońskie przeceniły swoje możliwości szybkiego zwycięstwa na terytorium carskiej Rosji, ignorując lub nie znając warunków pogodowych, jakie są typowe dla tego obszaru w okresie jesienno-zimowym.

"Jednak prócz chłodu i głodu wojsko Napoleona nękanie było jednak także przez wszy i roznoszoną przez te bezskrzydłe owady chorobę - tyfus plamisty" - podkreślił badacz.

Choroba ta wywołuje gorączkę, a w dalszym etapie m.in. wysypkę powodującą poważne zmiany skórne, objawiające się licznymi pęcherzami oraz szybki spadek wagi. Nieleczony tyfus jest w stanie bardzo szybko wykończyć organizm, doprowadzając do śmierci. "Szacuje się, że co najmniej 200 tys. żołnierzy wojsk napoleońskich zmarło w Rosji właśnie w skutek tej choroby lub powikłań z nią związanych" - zaznaczył zoolog z UŁ. (PAP)

PAP - Nauka w Polsce

szu/ zan/

a

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels

Zabytki nadgryzane nie tylko zębem czasu



Choć mówi się, że zabytki nadgryzane są zębem czasu, to w rzeczywistości nadgryzają je bakterie i grzyby w procesie zwanym biodeteriacją. O tym, co to jest biodeteriacja mówi prof. Tomasz Lech z Katedry Mikrobiologii Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie.

Czy zastanawiacie się czasem, w jaki sposób środowisko zewnętrzne oddziałuje na obiekty dziedzictwa kulturalnego i dlaczego pergaminy, papier, rzeźby i monumenty czy inne cenne zabytki niszczyją? Te niekorzystne zmiany zachodzące w starodawnych materiałach spowodowane są między innymi aktywnością mikroorganizmów – bakterii i grzybów, w procesie zwanym biodeteriacją.

„Proces biodeteriacji można rozumieć dwojako” – mówi prof. Tomasz Lech z Katedry Mi-

krobiologii UEK w Krakowie. Zasadniczo uznaje się, że proces ten obejmuje rozkład materii organicznej, powodowany enzymatyczną działalnością mikroorganizmów. Z drugiej zaś strony definicję tę można poszerzyć też o tzw. korozję mikrobiologiczną, czyli niszczenie materiałów nieorganicznych, spowodowane niekorzystnym wpływem metabolitów bakterii i grzybów. Przykładem tego drugiego procesu – wyjaśnia prof. Lech - jest chociażby pomnik Adama Mickiewicza na krakowskim rynku, który niszczy przez rozkładające się na nim ptasie odchody czy też

inną materię organiczną, a za ten proces odpowiedzialne są właśnie bakterie. W materiale tworzą się wtedy mikrootwórki, tzw. mikronisze – miejsca, w których bakterie mogą z powodzeniem funkcjonować pomimo niesprzyjających warunków środowiska. Mówi się wtedy, że taka korozja jest wzbudzona mikrobiologicznie, ale całość procesu nosi miano biodeterioracji.

Naukowcy z UEK w Krakowie badają między innymi materiały tekstylne i dokumenty papierowe, pergaminowe w różnym wieku i o różnym pochodzeniu. Pracowali też nad obrazem Dama z gronostajem. Najczęściej zajmują się jednak tekstyliami sakralnymi, ponieważ ich kolekcja jest bardzo bogata i różnorodna, a do tego materiały te wymagają odpowiedniego traktowania i ochrony, ze względu na trudne warunki przechowywania. Kościoły, zakrystie czy krypty to miejsca wilgotne, słabo wentylowane, a tym samym idealne dla rozwoju różnorodnych mikroorganizmów. Często są też zabrudzone substancjami organicznymi, np. winem mszalnym, stąd materiały te niejednokrotnie wymagają prania, a często i naprawy.

„Wydawałoby się, że wypranie takiego zabrudzonego ornatu to nic prostszego, w końcu mamy przeróżne sposoby i preparaty do prania. Tymczasem jest to bardzo długotrwały i żmudny proces” - mówi prof. Lech. Odzież sakralna składa się najczęściej z kilku rodzajów materiałów. Wierzchnia warstwa jest jedwabna, ale pod spodem możemy mieć lniany sztywnik i często bawełnianą podszewkę. Do tego wszystko pięknie pozszywane ozdobnymi nićmi. Dlatego najpierw taki ornat trzeba rozszyć, a potem oczyścić i konserwować osobno, stosując inną procedurę tzw. pranie konserwatorskie, namaczanie, gąbkowanie, a potem suszenie. Często materiał trzeba naszywać na specjalne siatki, żeby nie stracił formy, a po wysuszeniu całość należy we właściwy sposób zszyć. „Jeśli podejrzewamy, że w danym miejscu materiału mikroorganizmy rozpoczęły swoją niszcycielską działalność wykonujemy badania mikrobiologiczne, często również stosując badania z zakresu biologii molekularnej” – mówi naukowiec. „Im szerzej zakrojone badania mikrobiologiczne, tym większa szansa, że zidentyfikujemy wszystkie mikroorganizmy odpowiedzialne za procesy niszczenia materiału i uda nam się je zlikwidować, a przynajm-

niej ustalić takie warunki przechowywania obiektów, w których zminimalizujemy ryzyko rozwoju i aktywnego wzrostu mikroorganizmów” - wyjaśnia.

Jak wyglądają takie badania? Materiał mikrobiologiczny pobiera się sterylną wymazówką na sucho lub mokro lub tzw. fungitape, czyli specjalną taśmą klejącą do poboru grzybów. Następnie przenosi się go na odpowiednie podłoże mikrobiologiczne lub na materiał, z jakiego zrobiony jest badany zabytek - obiekt dziedzictwa kulturowego. Bakterie z bawełny przenosi się na bawełnę, z jedwabiu na jedwab itd. Taki materiał umieszcza się potem na podłożach mineralnych, tzn. bez dodatkowego źródła - niezbędnego dla mikroorganizmów - węgla organicznego, który jest ich pokarmem, aby wykazać, że mają potencjał biodeteriacyjny (niszczący) dla danego materiału.

Często taki materiał posiewa się też od razu na podłoża mikrobiologiczne w kierunku identyfikacji bakterii czy grzybów. Jeśli zidentyfikuje się bakterie z określonych grup np. o działaniu celulolytycznym (niszczącym celulozę) czy proteolitycznym (niszczącym białka) wiadomo, że materiał trzeba odpowiednio zabezpieczyć lub poddać dezynfekcji. Taką decyzję podejmuje konserwator zabytków. A nie jest ona łatwa, ponieważ jedną z najczęściej i najpowszechniej stosowanych metod dezynfekcji jest – tzw. komora fumigacyjna z tlenkiem etylenu, która niestety powoduje też niszczenie samego materiału. Po praniu i dezynfekcji pakuje się materiały w opakowania wykonane z różnych materiałów, np. w ostatnim czasie modne stają się opakowania ze specjalnego tworzywa polietylenowego, które „oddycha”. Jednak tu też prowadzi się badania jak takie pakowanie wpływa na wzrost liczebności mikroorganizmów, ponieważ nie każdy materiał nadaje się do przechowywania takich tkanin.

„Nasze badania są ważne, ponieważ zabezpieczenie dziedzictwa kulturowego przed procesem niszczenia mikrobiologicznego musi iść w kierunku nowoczesnych metod, mniej inwazyjnych, bezpieczniejszych dla samych obiektów. Nasze badania pozwalają dostosować procedury zabezpieczania takich materiałów. Ponadto pozwalają dopracować systemy zarządzania klimatem w

archiwach, muzeach czy innych instytucjach przechowujących historyczne obiekty oraz współtworzą systemy zarządzania ryzykiem w przypadku opieki nad zbiorami dziedzictwa kulturalnego” – mówi prof. Lech.

„Nigdy bym nie pomyślał, że mikrobiolog może mieć tyle wspólnego z dziedzictwem kulturowym” – mówi badacz. „Badałem szaty grobowe Królowej Jadwigi, infulę Św. Stanisława czy akt lokacji miasta Krakowa, ale nie ma jednego obiektu, który jest moim badawczym marzeniem. Każdy obiekt to unikat, jest wyjątkowy, zarówno pod kątem historycznym, jak i mikrobiologicznym. Takie mikrobiologiczne badania historii to ogromne emocje i dlatego nasza praca jest taka ciekawa” – dodaje.

PAP – Nauka w Polsce, dr hab. Aleksandra Ziemińska-Buczyńska

ekr/

Dr hab. Aleksandra Ziemińska-Buczyńska jest mikrobiologiem z Politechniki Śląskiej. Od 2017 roku kieruje Centrum Popularyzacji Nauki PŚ. W 2015 roku zajęła trzecie miejsce w trzeciej, polskiej edycji konkursu FameLab. W CANAL+ DISCOVERY prowadziła program „Wynalazcy przyszłości”, w którym pokazywała polskie wynalazki i odkrycia, które zmienią w niedalekiej przyszłości nasz świat. Jest finalistką konkursu Popularyzator Nauki 2017, współorganizowanego przez serwis PAP - Nauka w Polsce oraz Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Tekst jest jednym z efektów programu Rzeczni-
cy Nauki, zorganizowanego przez Centrum Nauki Kopernik i Fundację British Council. Program umożliwia nawiązanie współpracy pomiędzy popularyzującymi wiedzę naukowcami a dziennikarzami zajmującymi się sprawami nauki.

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

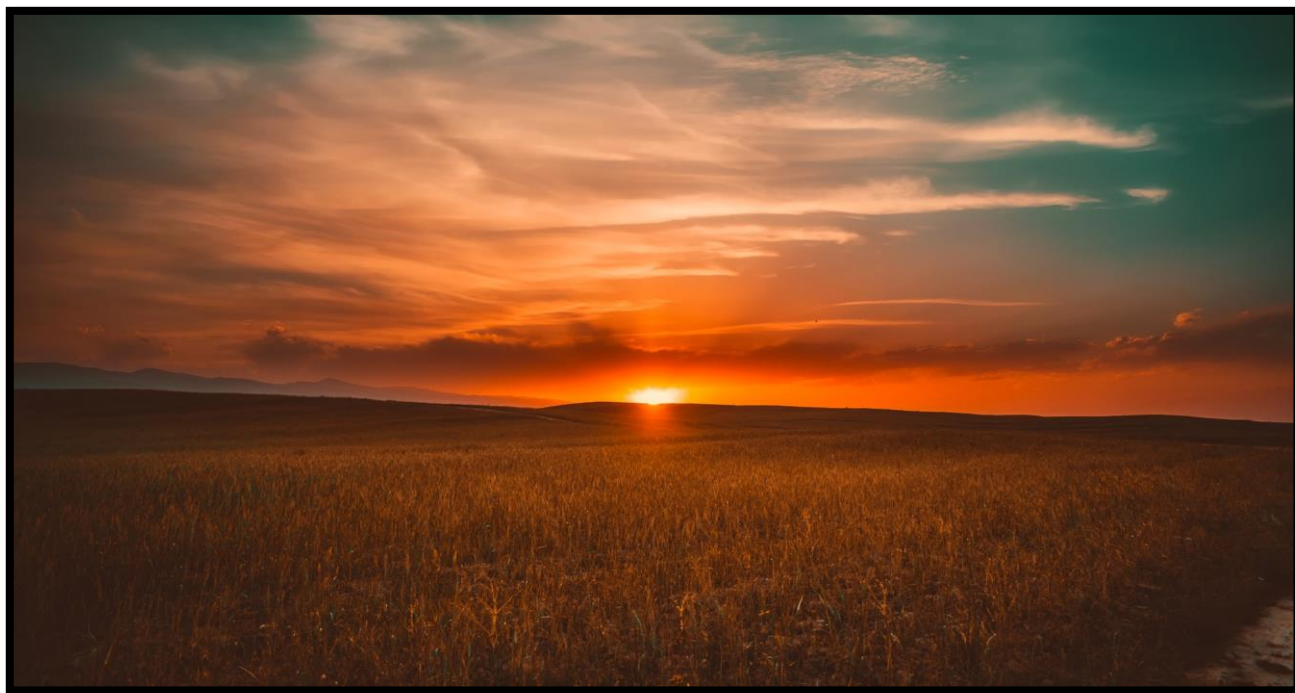
Foto: Pexels

**Eksploracja i przygoda
to styl życia**

sklep
poszukiwania.pl



Zmiana klimatu w dawnej Polsce



Nie ma dowodów na to, że tzw. mała epoka lodowcowa w XVII w. spowodowała na Polskę katastrofę gospodarczą - wynika z badań polskich uczonych, opublikowanych w prestiżowym piśmie PNAS. Dostępne dane wskazują raczej, że ludzie dostosowywali się do zmian klimatu.

Według Geoffreya Parkera, wybitnego historyka XVII w., Rzeczpospolita Obojga Narodów była przykładem państwa, które dotkliwie odczuło skutki ochłodzenia klimatu w okresie nowożytnym - czyli tzw. małej epoki lodowcowej, charakteryzującej się dużą zmiennością pogody, a zwłaszcza wyjątkowo zimnymi przednówkami.

Wyniki analizy polskich badaczy przeczą jednak tezie, że kluczowym powodem kryzysu w dawnej Polsce były zmiany klimatu.

"W połowie XVII w., kiedy to w Rzeczpospolitej zaczynają wybuchać wojny, już od około stu lat kraj powinien odczuwać skutki małej epoki lo-

dowcowej - a tymczasem jest to złoty okres historii Polski" - mówi w rozmowie z PAP dr Piotr Guzowski z Uniwersytetu w Białymstoku, jeden z polskich współautorów artykułu w PNAS (Proceedings of the National Academy of Sciences). "Gospodarka rozwijała się wówczas świetnie, eksportowaliśmy coraz więcej zboża, rosła liczba ludności. Nawet, jeśli negatywna zmiana klimatu występowała - to do połowy XVII w. w gospodarce nie ma po niej śladu, ludzie się po prostu do niej dostosowali" - podsumowuje.

Dopiero - jak tłumaczą naukowcy - potop szwedzki i wojna polsko-rosyjska pod koniec lat 50. XVII wieku przynoszą zniszczenia, które sprawiają, że polska gospodarka i społeczeństwo tracą swoją odporność na „niepogodę”.

Dlaczego naukowcy zaczęli badać to zagadnienie? Międzynarodowa grupa badaczy, wśród których znalazło się dwóch historyków z Polski - dr Guzowski oraz dr Adam Izdebski z Uniwersytetu Jagiellońskiego - postanowiła zweryfikować

kilka przykładowych tez o wpływie zmian klimatycznych na gospodarkę dawnych społeczeństw. Wśród analizowanych przez nich przykładów znajdowała się właśnie m.in. XVII-wieczna Polska.

"W literaturze historycznej ostatnich lat, pod wpływem m.in. dyskusji o ociepleniu klimatu, zaczęto zwracać większą uwagę na to, w jaki sposób zmiany klimatu mogły wpływać na różne koncepcje historyczne" - mówi dr Guzowski. Jak tłumaczy, w ostatniej dekadzie powstało przez to wiele koncepcji, według których to zmiana klimatu była decydującym czynnikiem przy np. upadku Rzymu czy rozpoczęciu wędrówek ludów.

Zamiast po prostu na nowo interpretować dane wykorzystywane przez historyków dotychczas, badacze postanowili zastosować inne podejście.

"Przy takiej tematyce historyk nie może polegać tylko na źródłach historycznych, które są często

niepełne lub niedopasowane do naszych potrzeb" - przekonuje dr Guzowski. Do udziału w badaniach autorzy artykułu zaprosili więc specjalistów z dziedziny nauk przyrodniczych, np. paleobotaników. Dzięki temu mogli badać nie tylko źródła pisane, ale również materiały przyrodnicze pochodzące z badanego okresu, takie jak pyłki roślin czy osady torfowiskowych.

Badania, których wynikiem jest publikacja w PNAS, finansowane były m.in. w ramach grantu przyznanego w module "Rozwój" Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki.

PAP - Nauka w Polsce

autor: Katarzyna Florencka

kflo/ ekr/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.



Gestapo po roku 1945

Co stało się z członkami zbrodniczej tajnej policji Gestapo po II wojnie światowej?

Gestapo zlikwidowano w 1945 r., a jego zbrodnie zostały w pełni ujawnione przed światem. Jednak większość członków tajnej policji Hitlera przeżyła wojnę. Jak odnaleźli się i zachowywali w okresie powojennym? Jak potraktowało ich niemieckie społeczeństwo? Jaki obraz wytworzyło? Jak podchodziły do nich instytucje prawne? Czy ich zbrodnie doczekały się rzetelnego wyjaśnienia i osądzenia?

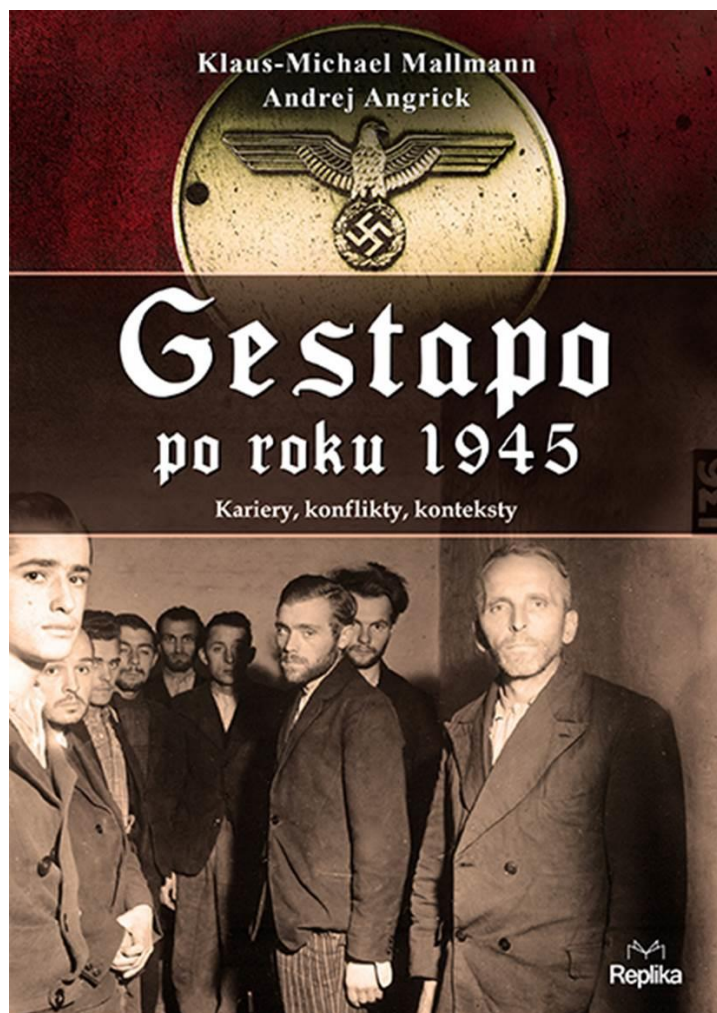
Oto główne pytania stawiane przez autorów tej wielowątkowej książki. Piętnastu uznanych badaczy stara się na nie odpowiedzieć, opierając się na losach konkretnych członków Gestapo. Bazując na ich przykładach, autorzy wykazują pewne tendencje. Wskazują tych, którzy spokojnie funkcjonowali po wojnie w społeczeństwie, jak i tych, których więziono i po wyrokach zabito.

W części pierwszej pojawiają się, m.in. Walter Rauff, Horst Kopkow, Ludwig Hahn czy Hans Schumacher. Część druga ukazuje sytuacje powojenne, uwarunkowania społeczne i polityczne, w których znaleźli się byli gestapowcy. Największy nacisk kładzie na niemożność wyegzekwowania odpowiedzialności, zwłaszcza od ludzi często powiązanych mocno z różnymi instytucjami powojennymi. Tu też padają konkretne nazwiska: Otto Bradfisch czy Albert Rapp.

Część trzecia dotyczy konsekwencji wchłonięcia członków Gestapo przez społeczeństwo oraz obrazów tej instytucji kreowanych w powszechnej świadomości, np. przez media. Klaus-Michael Mallmann jest dyrektorem naukowym Centrum Badawczego Ludwigsburg i profesorem historii nowożytnej na Uniwersytecie w Stuttgarcie.

Andrej Angrick jest badaczem w Hamburskiej Fundacji na rzecz Promocji Nauki i Kultury.

Książka w ciekawy sposób traktuje o złożonych procesach zachodzących w społeczeństwie niemieckim po przegranej wojnie oraz wymierzaniu sprawiedliwości indywidualnej i masowej. Pozycja obowiązkowa dla miłośników powojennej historii. — Artur Parzybut, Historyk.eu



Mord na Wołyniu

Pełna historia tragedii wołyńskiej – kolejna odsłona

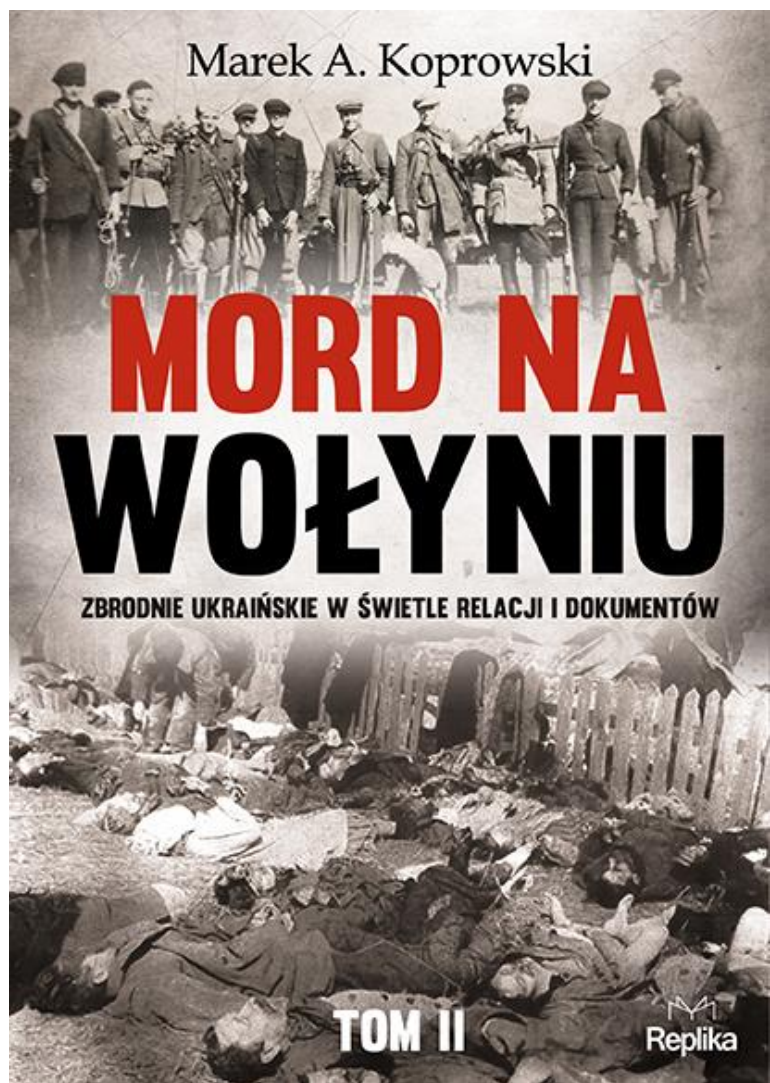
Niniejsza książka opowiada o ostojach polskości podczas rzezi wołyńskiej – największych ośrodkach samoobrony. Tworzone ad hoc stały się azylem dla Polaków starających się uchronić przed wyrżnięciem. Ukraińscy nacjonałiści skazali ich bowiem na eksterminację. Na dowód autor przytacza opisy ukraińskich zbrodni, które rozszalały się na Wołyniu i które zmusiły Polaków do utworzenia samoobrony w miastach.

Nie wszyscy zdołali się w nich schronić. Ci, którym się to udało, stali się świadkami zwyrodniałych mordów. Ukraińcy nie chcieli pozostawiać świadków, dlatego też z zaciekłością atakowali miasta. Nie zrezygnowali nawet wówczas, gdy ziemia drżała już od wystrzałów armat, zwiastując nadejście Sowietów.

Książka omawia działalność samoobrony w Pańskiej Dolinie, zorganizowanej przez działaczy ruchu ludowego, która odpierała ataki sił ukraińskich aż do nadejścia Sowietów. Nie miał tego szczęścia Mizocz. Jego mieszkańcy, po zacieklej obronie, musieli pod eskortą wycofać się do Dubna. Ataki odparła samoobrona w Dederkałach i Ostrogu. Obroniła się pobliska Witoldówka. Nie dali się wyrżnąć mieszkańcy Rybcza. Banderowcy, nie chcąc podejmować walki z dobrze uzbrojoną załogą, udali się do Wiśniowca, gdzie w klasztorze Karmelitów wyrżnęli kilkuset Polaków.

Częściowo wypełniła zadanie samoobrona w Hucie Stepańskiej. Poniosła ciężkie straty i z braku amunicji musiała – wraz z ochranianą ludnością – wycofać się. Duży sukces, porównywalny ze Zbarażem, osiągnęła samoobrona polska w rejonie Zaslucza.

Na północno-wschodnim Wołyniu sytuacja była jeszcze bardziej skomplikowana. Tutaj Polacy, broniąc się przed Ukraińcami, musieli balansować między Niemcami a silnymi zgrupowaniami partyzantki sowieckiej. Ich dowódcy nie ukrywali, że traktują Wołyn jako część Związku Radzieckiego. Jakkolwiek sojusz i współpraca mogły mieć tylko charakter czasowy i taktyczny.



Autor poświęca tej sprawie dużo uwagi, cytując sowieckie dokumenty, szyfrówki i rozkazy. Podobnie jak w pierwszym tomie, przywołuje unikatowe dokumenty ukraińskie oraz relacje, wspomnienia i pamiętniki świadków, którzy na własne oczy widzieli tamte wydarzenia.

--- fragment rozdziału „Na pohybel Lachom” ---

W listopadzie 1942 r. dwadzieścia kilometrów od Dubna we wsi Werba, leżącej przy drodze do Lwowa, banderowcy zamordowali kierownika szkoły wraz z całą rodziną. Ten bestialski mord zapoczątkował falę zbrodni. Początkowo, jak wspomina Cybulski:

Na razie mordowano wybiórczo – nauczycieli, kolonistów przybyłych z centralnej Polski, inteligentów i zaangażowanych działaczy. Każdej nocy widać było łuny pożarów, po czym przychodziły wiadomości, które wsie, kogo i gdzie wyrżnięto czy spalono. Ludność, której udało się ująć z życiem, uciekała do miast, do Dubna, Łucka, Młynowa i innych, gdzie szukano możliwości zahaczenia się i przeżycia u znajomych czy krewnych, lub w innych dostępnych pomieszczeniach. Wszyscy polscy nauczyciele uciekli do miast, niektórych ukraińscy działacze, popi i inni starali się nakłonić do pozostania na swoim stanowisku, zapewniając, że nic im się nie stanie.

Mieszkańcy Pańskiej Doliny zaczęli się starać o broń i przygotowywać swoje gospodarstwa do obrony.

Zaleciliśmy innym i sami robiliśmy w swoich gospodarstwach podziemne bunkry z tunelem do mieszkania lub innych budynków. Pierwsi i na dużą skalę do takiej pracy przystąpili Kozłowski, pod kierownictwem najstarszego brata Alberta. Obok ich murowanego domu była też murowana piwnica, z której do mieszkania wykopali wygodny korytarz. Oprócz tego z piwnicy kręty tunel łączył się z obszernym, z zamaskowanymi otworami strzelniczymi, dużym bunkrem. Wykonanie takiej pracy było nie lada sztuką. Po pierwszym banderowskim napadzie założyliśmy tu centrum placówki. Żeby się nie zdradzić przed ciekawskimi Ukraińcami (zachodzili czasem) i różnego rodzaju władzami, prace wykonywano tylko nocą. Ziemię z wykopów ukrywano i maskowano. Wszystkie obronne czynności musieliśmy przyspieszać, bo spodziewaliśmy się napadu z dnia na dzień. Obserwowaliśmy conocne łuny pożarów. Zostały spalone prawie wszystkie polskie osiedla i wsie wokół nas. Otrzymaliśmy od zaufanych Ukraińców wiadomość, że banderowcy już koncentrują siły na Pańską Dolinę.

Konspiracja zaczęła się tworzyć w Pańskiej Dolinie w 1942 r. Wtedy to do drzwi Antoniego Cybulskiego zapukał Zygmunt Rumel, udający domokrażcę sprzedającego kamienie do zapalniczek. Cybulski go nie poznał, ale Rumel powołał się na znane mu osoby i poinformował go, że został skierowany przez Delegaturę Rządu RP na Kraj i przez Zarząd Główny Stronnictwa Ludowego z Warszawy. Poinformował Cybulskiego, że w związku z sytuacją, która wynikła na Wołyniu, władze podziemne zdecydowały, żeby zorganizować działalność konspiracyjną, powołać tu administrację cywilną, założyć samoobronę, ogólnie zająć się zahamowaniem banderowskiej fali terroru. Rumel, jak wspomina Cybulski, liczył, że wielu zdrowo myślących Ukraińców też weźmie udział w uświadamianiu nas i powstrzyma swoich ziomków przed rozpętaniem terroru. Cybulski złożył przysięgę, przyjął pseudonim „Oliwa” od rodzowego nazwiska matki. Otrzymał też do wiadomości i służbowego użytku hasła i kontakty do komórek organizacyjnych w powiecie Dubno. Bazując na dotychczasowych kontaktach, Cybulski zaczął budować zręby konspiracji nie tylko w Pańskiej Dolinie, ale i w całym powiecie. Jego pierwszym pomocnikiem był Albert Kozłowski, który przyjął pseudonim „Jastrząb”. Wraz z nim Cybulski ustalił trzypunktowy program działania:

- 1) W celu podtrzymania ducha do przetrwania prowadzić będziemy bardzo szeroką pracę uświadamiającą o walce całego narodu, teraz już łącznie z nami i że nie jesteśmy już samotni. Temu miały służyć otrzymywane gazetki. Na dalszym etapie – zorganizowane przez Polaków, mieszkających w mieście, pomocy dla mieszkańców wsi. Pomoc ta miała polegać na wyszukiwaniu pomieszczeń,

zameldowywaniu, wyszukiwaniu pracy i w ogóle, w zaaklimatyzowaniu się w tych przymusowych warunkach w środowisku miejskim.

- 2) Do zaprzysiężenia i wciągnięcia do pracy w konspiracji mogą być werbowani ludzie pewni z charakteru, o znanym obliczu patriotycznym, bez jakichkolwiek odchyleń, mogących doprowadzić do zdrady, należy przed wtajemniczeniem przeprowadzić dokładnie rozeznanie otoczenia werbowanego, jego kontakty, jego morale i osobowość.
- 3) Przyjęliśmy system trójkowy. Żadnych spisów imiennych nie wolno sporządzać, posługiwać się wyłącznie pseudonimami.

Cybulskiemu udało się pozyskać sporo osób w Młynowie. Zaczął od swojego ciotecznego brata Władysława Peterki i przy jego pomocy zwerbował następnych. Wśród nich znaleźli się m.in.: Paweł Bobowski, Tadeusz Dudkiewicz, Bolesław Dymier, Władysław Kaliński, Roman Kucharski, Stanisław Kucharski, Mieczysław Opaliński, Mieczysław Radajewski, Alfons Reszler i Józef Sawicki. Nazwisk pozostałych Cybulski już niestety nie zapamiętał.



Pamiętamy o
BOHATERACH

sklep
poszukiwania.pl

I pokój toruński



Warunki I pokoju toruńskiego są oceniane jako niekorzystne dla Polski w porównaniu ze znaczeniem zwycięstwa pod Grunwaldem. Polska nie odzyskała Pomorza, Zakon zwrócił jej jedynie ziemię dobrzyńską i zobowiązał się zapłacić 100 tys. kop groszy czeskich. Większe korzyści odnieśli Litwini, którzy odzyskali Żmudź, ale tylko w dożywotnie posiadanie Jagiełły i Witolda. Warunki pokoju uznano za rozczarowujące i ta ocena przeważa także dziś. Winą za porażkę obarczono Witolda. W jego zachowaniu przy oblężeniu Malborka, kiedy wycofał się z dalszego udziału w walce, doszukiwano się zdrady i wyraźnej niechęci do wzmocnienia terytorialnego Polski.

Przy tak surowej ocenie zapomina się o tym, że jedna bitwa nie stanowi o wyniku całej wojny. Zwycięstwo grunwaldzkie osłabiło znaczenie Krzyżaków, ale wciąż mieli oni jeszcze potężne środki obrony, a społeczeństwo pruskie czuło się z nimi silnie związane. Co prawda na wieść o przegranej Krzyżaków wiele miast dobrowolnie poddało się Jagielle, ale był to jedynie wyraz szoku na skutek tej klęski. Zobaczywszy jednak, że wojska polskie wycofały się spod Malborka, większość pruskich miast wróciło pod skrzydła krzyżackie. Siły króla polskiego okazały się za słabe, aby utrzymać się w Prusach.

Od radykalnych kroków wobec Krzyżaków odwodziła Polaków jeszcze jedna okoliczność. Otóż w Europie Zachodniej Zakon uchodził wciąż za przedmurze chrześcijaństwa. Nie należało zatem dostarczać Zakonowi powodów do kolejnych podejrzeń, jakoby pogańska w ich przekonaniu Polska sprzymierzała się z litewskimi heretykami przeciwko niemu.

Pierwszy pokój toruński miał być wieczysty, ale przybrał on raczej charakter rozejmu. Obie strony, zadowolone wynikami wojny, zaczęły myśleć o zmianie sytuacji. Chociaż warunki pokoju nikogo nie zadowolili, nie należy zapominać o tym, że mimo wszystko stał się on potwierdzeniem powolnego upadku sił krzyżackich. Zakon musiał po raz pierwszy ustąpić przed Polską i Litwą.

I. Ł.

Fotografia: oryginalny dokument I pokoju toruńskiego ze zbiorów Archiwum Głównego Akt Dawnych, Wikimedia Commons, domena publiczna.



Raid Arado
2018

NAJWIĘKSZA W POLSCE IMPREZA MILITARNA
O CHARAKTERZE HISTORYCZNO-EDUKACYJNYM

RR
RelacjeRegionalne
czadrow.pl

RAJD ARADO
28 KWIETNIA - 1 MAJA 2018

HISTORYCZNE POJAZDY, UZBROJENIE I POTYCZKI MILITARNE
TO WSZYSTKO ZOBACZYSZ PODCZAS MAJÓWKI 2018

Arthur Greiser król kraju Warty

Dziecko Wschodu

Arthur Karl Greiser urodził się w Środzie Wielkopolskiej (niem. Schroda) 22 stycznia 1897 r. w rodzinie pochodzącego z Prus Wschodnich komornika sądowego. W 1900 r. cała rodzina przeprowadziła się do Inowrocławia, gdzie rodzice zapisali go do Gimnazjum Królewskiego. W 1914 r. Greisera wydalono ze szkoły za przejawianie agresji wobec polskich kolegów i

wszczynanie z nimi bójek. Kilka miesięcy później wybuchła I wojna światowa. Greiser ochotniczo wstąpił do wojska. Najpierw młody patriota pełnił służbę w marynarce wojennej w Kilonii, później walczył na froncie zachodnim, a w 1917 r., po odbytych szkoleniach, objął dowództwo eskadry lotnictwa morskiego. Podczas jednego z lotów nad Morzem Północnym w październiku 1918 r. Greiser został ciężko ranny w wyniku ostrzału przez wrogą artylerię. Po tym osobistym dramacie po raz pierwszy przyjechał do Gdańska, gdzie skierowano go na leczenie.



Bundesarchiv, Bild 183-E12179
Foto: e.Ang. | November 1938

Dom narodzin Greisera w Środzie Wielkopolskiej, jesień 1939 roku (fot. Bundesarchiv, Bild 183-E12179, opublikowano na licencji Creative Commons Attribution-Share Alike 3.0 Germany)

W marynarce wojennej Greiser służył do 1919 r., następnie do 1920 r. walczył w oddziałach Freikorpsów. Całą jego rodzinę po wojnie objął masowy *exodus* Niemców z obszarów przyjętych przez odrodzoną Polskę. Do Poznania Greiser nie wrócił i został w Gdańsku, gdzie dorywczo

pracował. Od 1921 r. należał do loży wolnomularskiej, był związany z kilkoma szowinistycznymi stowarzyszeniami kombatantów, a w latach 1922-1923 przebywał w Monachium w celu nawiązania kontaktu z powstającą partią Hitlera. Po powrocie do Gdańska, ówczesnego centrum

konfliktu polsko-niemieckiego, Greiser przechodził kolejne etapy radykalizacji, przekształcając się z niemieckiego patrioty w antypolskiego fanatycznego nazistę. Wreszcie w 1929 r. wstąpił do gdańskiego oddziału NSDAP. Jego kariera pięła się w górę: został posłem do parlamentu Wolnego Miasta Gdańska, a po zwycięstwie NSDAP w wyborach w 1933 r. zasiadł we władzach miasta. Jak wielu innym politykom nazistowskim awans zapewniły mu zdolności oratorskie: należał do najczęściej występujących mówców gdańskiego NSDAP.

W listopadzie 1934 r. Greiser został wybrany na stanowisko prezydenta Senatu, czyli głowy Wolnego Miasta, który jednocześnie kierował sprawami zagranicznymi oraz wewnętrznymi. Do 1939 r. zajmował się tłumieniem opozycji politycznej w Gdańsku, rywalizacją z gauleiterem gdańskim Albertem Forsterem oraz próbami rozstrzygnięcia sporów terytorialnych z Polską. Później okres sprawowania urzędu głowy Wolnego Miasta Greiser nazwał najlepszym okresem swojego życia. W październiku 1939 r. wszystko się zmieniło: Hitler nazwał go „dzieckiem Wschodu” i wyznaczył na namiestnika powstającego Kraju Warty ze stolicą w Poznaniu.

Wzorcowy nazista

Po przybyciu do Poznania Greiser oświadczył: „naszą myślą przewodnią [...] jest przekształcenie się we wzorcowy okręg wielkiej Rzeszy Niemieckiej”. Na początku zajmowało go poszerzenie granic okręgu *Warthegau*: w wyniku tych zabiegów przyłączono do niego Łódź. Greiser, uważając, że jego biografia dała mu wyjątkowy wgląd w „kwestię polską”, swoje główne zadanie widział w kształtowaniu harmonijnej niemieckiej społeczności poprzez intensywną germanizację. Pod kierownictwem Greisera odbywały się napływy na tereny Kraju Warty etnicznych Niemców i jednocześnie wysiedlenie Polaków, osadzenie w gettach Żydów oraz działania antykościelne. Polaków skazywano na surowe kary nawet za drobne wykroczenia: pięć lat obozu karnego można było dostać za napisanie antyniemieckich uwag w prywatnej korespondencji. Mimo tego, że nie ma żadnych bezpośrednich dowodów łączących Greisera z kampanią eutanazji w latach 1939-1941, polegającą na mordowaniu pacjentów szpitali psychiatrycznych, z pewnością zdawał sobie on sprawę z tego, co się dzieje w jego „królestwie”.



Bundesarchiv, Bild 183-E12078
Foto: o./Ang. | November 1939

Greiser na dziedzińcu Zamku Cesarskiego (fot. Bundesarchiv, Bild 183-E12078, opublikowano na licencji Creative Commons Attribution-Share Alike 3.0 Germany)

Wiosną 1943 r. Greiser spotkał się w Katowicach z gauleiterem Górnego Śląsku Fritzem Brachtem: według raportów jednego z obecnych wtedy członków SS, atmosfera przypominała

starogermańskie spotkanie królów. „Żaden książę, ani król nie miał takiej władzy”, powiedział Greiser w przemówieniu wkrótce po objęciu władzy. Na zamku cesarskim w Poznaniu „król

nadwarciańskich Niemców” zamieszkać jednak nie zechciał. Zamiast tego dla zapewnienia potrzeb reprezentacyjnych miała zostać zbudowana rezydencja na wschodnim brzegu Jeziora Góreckiego, 20 km na południe od Poznania. Zespół budynków, składający się z pałacu głównego i budynków gospodarczych, kosztował ponad 3 mln reichsmarek, jednak wtedy podobne inwestycje były dla Rzeszy możliwe. Z zamku w Poznaniu zostały sprowadzone do rezydencji meble, obrazy oraz dzieła sztuki. Po koniec 1942 r. „nazistowski satrapa” zamieszkał tam z żoną, ku czci której nadał całej miejscowości wraz z jeziorem i rezydencją nową nazwę – *Mariensee*. Nową szosę, łączącą Poznań z rezydencją, do dziś nazywa się „greiserówką”.

Dążąc do pozbawienia Polaków dziedzictwa kulturowego, władze nazistowskie zabrały z bibliotek, muzeów i kolekcji prywatnych dzieła sztuki i inne wartościowe przedmioty. Architekci mieli zająć się nadaniem krajobrazowi czysto „niemieckiego” wyglądu. Pod patronatem Grei-

sera działało Państwowe Biuro Prehistorii, gromadzące dowody germańskich początków tego obszaru, prowadzone były także liczne prace wykopaliskowe. Datę 26 października, rocznicę aneksji województwa poznańskiego przez III Rzeszę, obchodzono teraz jako „Dzień Wolności”. W akcji germanizacji decydującą rolę miała odgrywać edukacja: Greiser był autorem idei powstania w Poznaniu niemieckiego uniwersytetu (*Reichsuniversität Posen*), który uroczystie otwarto w kwietniu 1941 r. Jednak mimo całej germanizacji, po wszystkich przesiedleniach, deportacjach, ludobójstwie, Niemcy w 1944 r. wciąż nie stanowili nawet jednej czwartej ludności okręgu. Prawdziwa katastrofa wydarzyła się jednak 20 stycznia 1945 r., kiedy radzieckie czołgi dotarły do okolic Poznania. Teraz Greiser, który przed tym podejmował działania mające zapobiec ucieczce Niemców przed radzieckim najazdem, miał ogłosić ewakuację ludności niemieckiej. Przebiegała ona w strasznych warunkach.



Bundesarchiv, Bild 183-ED0455
Foto: o.Ang. | Oktober 1939

Arthur Greiser w mundurze SS (fot. Bundesarchiv, Bild 183-E12078, opublikowano na licencji Creative Commons Attribution-Share Alike 3.0 Germany)

Król wraca do Poznania

Kiedy 23 lutego 1945 r. Poznań znalazł się w rękach Sowietów, Greiser wciąż formalnie był gauleiterem i namiestnikiem Kraju Warty. Obecnie jednak wędrował po rozpadającej się Rzeszy. W maju został aresztowany w Bawarii przez patrol amerykański. W centrum przesłuchań obozu internowania próbował bagatelizować swoją odpowiedzialność za to, co się wydarzyło w Kraju Warty, fantazując na temat swej przeszłości: że był przeciwnikiem prześladowań Żydów, że tylko poczucie „niemieckiej lojalności” kazało mu pozostać na stanowisku, że nie wiedział o istnieniu obozów zagłady i dopiero po aresztowaniu usłyszał o tym, co się działo w obozach koncentracyjnych. W niewoli alianckiej Greiser stał się wrakiem człowieka, lecz w październiku 1945 r. rząd polski poprosił o przekazanie go w celu osądzenia za zbrodnie wojenne. Oprócz tego Niemcy, którzy przeżyli ewakuację z Kraju Warty w styczniu 1945 r., również żądali sądu nad zbrodniarzem wojennym. Greiser ledwie skrywając gniew na rodaków przybył 30 marca 1946 r. do Warszawy, a 13 czerwca do Poznania.

Proces Greisera był pierwszym z rozpraw odbywających się przed powołanym w lutym 1946 r. Najwyższym Trybunałem Narodowym. Sąd ten miał świadomość swojej historycznej roli. Proces rozpoczął się 21 czerwca i trwał do 9 lipca, kiedy ogłoszono wyrok. Gauleitera oskarżono o dokonanie zabójstw ludności cywilnej i jeńców wojennych, niszczenie polskiej kultury, pozbawienie ludności polskiej jej własności prywatnych,

głoszenie niższości kulturalnej Polaków, prześladowanie i zabijanie Żydów, wprowadzenie *volkslisty*, mordowanie i deportacje polskich księży. Wyrok był surowy: 21 lipca 1946 r. Arthur Karl Greiser został powieszony na stoku poznańskiej cytadeli. Była to ostatnia egzekucja publiczna w Polsce.

Bibliografia:

- *Arthur Karl Greiser* [w:] Wypędzeni1939.pl [dostęp: 20 lipca 2016 roku] <<http://www.wypedzeni1939.pl/sprawcy/arthur-karl-greiser/>>.
- Epstein Catherine, *Wzorcowy Nazista: Arthur Greiser i okupacja Kraju Warty*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2011.
- Łuczak Czesław, *Arthur Greiser: hitlerowski władca w Wolnym Mieście Gdańsku i w Kraju Warty*, PSO, Poznań 1997.
- Nadolny Rafał, *Jeziory – dawna siedziba Arthura Greisera*, „Kronika Wielkopolski”, nr. 2 (90), 1999, s. 82–92.

Redakcja: Tomasz Leszkowicz

Aleksei Rogozin

materiał został opublikowany na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 3.0 Polska
miejsce pierwotnej publikacji – Portal historyczny Histmag.org

Władysław Bartoszewski



19 lutego 1922 r. urodził się Władysław Bartoszewski. Był człowiekiem całym sobą oddanym Polsce, wzorem postawy patriotycznej i obywatelskiej. Działal na polu dziedzin takich jak historia, dziennikarstwo, aktywność społeczna oraz polityka. Szczególnie należy podkreślić jego zasługi jako historyka. Mimo iż w młodości studiował polonistykę (której zwieńczenie dyplomem mu uniemożliwiono), to właśnie dla nauk historycznych zasłużył się najbardziej.

Juliusz Wiktor Gomulicki określił go jako „urozonego dokumentalistę”. W czasie wojny (do

wybuchu powstania) Bartoszewski zgromadził w kilku skrytkach na terenie Warszawy imponujący księgozbiór okupacyjny, w tym: książki, prasę konspiracyjną, druki ulotne, broszury, nawet afisze z wyrokami śmierci. Dzięki pasji dokumentacyjnej i publicystycznej mógł przekazać późniejszym pokoleniom Polaków wiele cennych informacji na temat niemieckiej okupacji. Jednym z pierwszych dokumentów, jakie stworzył sam, był raport z pobytu w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, który przekazał do Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej. W schwitz przebywał od 22 września 1940 r. do 8

kwietnia 1941 r. Służba wojskowa, praca w BIP, pobyty w więzieniach (również te powojenne) wyostrzyły jego zmysł analityka życia politycznego i konspiracyjnego polskiego podziemia. W toku kontaktów z Frontem Odrodzenia Polski oraz służby na rzecz Delegatury Rządu Bartoszewski zaangażował się w jedno ze swoich największych doświadczeń okupacyjnych, czyli w pomoc Żydom.

W powojennej prasie, np. „Gazecie Ludowej”, tygodnikach „Świat” i „Stolica”, „Ekspresie Wieczornym”, „Tygodniku Powszechnym”, w krótszych lub dłuższych artykułach Władysław Bartoszewski powracał do okresu wojny, akcentując dzieje powstańcze. Jego książki, takie jak np. *Prawda o von dem Bachu* czy *Warszawski pierścień śmierci 1939–1944*, dotyczą także niemieckich zbrodni na ziemiach okupowanej Polski. Przekazy Bartoszewskiego odznaczają się niezwykłą precyzją i szczegółowością, dzięki czemu są wiarygodne. To on spopularyzował określenie „Polskie Państwo Podziemne”. Kolejnym tematem jego publikacji stały się działalność „Żegoty” i powstanie w getcie warszawskim. Swoimi wypowiedziami przyczynił się do

sprostowania wielu trudnych kwestii w stosunkach polsko-żydowskich. Publikacja *Ten jest ojczyzna mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939–1945*, przygotowana wraz z Zofią Lewinówną, została przetłumaczona na kilka języków i znacząco wpłynęła na historyczne ujęcie tematu pomocy udzielanej Żydom przez Polaków. Bartoszewskiego należy również zapamiętać jako wybitnego znawcę prasy okresu wojny i okupacji.

Zdecydowanie był on historykiem faktu i konkretnym. Siła jego piarstwa historycznego tkwi w tematyce, w ówczesnym okresie niepodejmowanej wcale lub traktowanej nierzetelnie. Władysław Bartoszewski pisał z perspektywy nie tylko badacza, lecz także świadka dziejów, co czyni jego prace jeszcze bardziej sugestywnymi.

Zdjęcie: *Władysław Bartoszewski*, 24 stycznia 2005 r., Warszawa, Wikipedia, CC BY.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.

MHKI
MUZEUM HISTORII
KOMPUTERÓW
I INFORMATYKI

NOC MUZEÓW

19 Maja 2018
godz. : 18.00 - 01:00

70 lat
IT w
Polsce

Monety

Zygmunta II Augusta 1545 – 1572 cz.4



Półgrosz 1551, Wilno, Kop, 3243, Kurp, 677, Ivanauskas 4SA46-13



Półgrosz 1552, Wilno, Kop, 3244, Kurp, 678, Ivanauskas 4SA47-15



Półgrosz 1553, Wilno, Kop, 3245 R3, Kurp, 680 R3, Ivanauskas 4SA50-16



Półgrosz 1555, Wilno, Kop, 3247, Kurp, 683, Ivanauskas 4SA55-16, legenda LI/LITVA, ciekawszy rocznik



Półgrosz 1557, Wilno, Kop, 3250, Kurp, 693 R3, Ivanauskas 4SA75-21, rzadki wariant z trójlistkami



Półgrosz 1558, Wilno, Kop, 3257, Kurp, 698, Gum, 598, Ivanauskas 4SA83-24



Półgrosz 1560, Wilno, Kop, 3251 R5, Kurp, 706, Gum, 598, Ivanauskas 4SA104-27



Półgrosz 1560, Wilno, Kop,-, Kurp,-, Gum, 598, Ivanauskas 4SA99-25, rzadki wariant z krzyżykiem



Półgrosz 1566, Tykocin, Kop, 3274 R5, Kurp, 754 R4, Ivanauskas 4SA171-46



Denar 1557, Elbląg, Kop, 7101 R3, Kurp, 991 R4, Gum, 654



Obol 1546, Wilno, Kop, 3198 R8, Kurp, 631 R6, Ivanauskas 1SA4-2 RRR, T,80



Obol 1546, Wilno, Kop, 3199 R8, Kurp, 630 R7, Ivanauskas 1SA1-1 RRRR, T,80, wyjątkowo rzadki, niewystępujący na rynku kolekcjonerskim wariant z tarczami herbowymi na obu stronach,



Obol 1547, Wilno, Kop, 3200 R8, Kurp, 632 R6, Ivanauskas 1SA6-3 RRRR, T,80

Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.

www.pgnum.pl

FUNDACJA • JAMMIKI • NICZYJE

Peretka
By godnie dożyć swoich dni...

FUNDACJA • JAMMIKI • NICZYJE FUNDACJA • JAMMIKI • NICZYJE FUNDACJA • JAMMIKI •

Wojenne historie Danuty Szaflarskiej



Wojenne historie Danuty Szaflarskiej

"Jeżeli ktoś urodził się pod zaborami w 1915 roku, to wzrastał, uczył się już w niepodległej Polsce, a gdy wybuchła II wojna najczęściej zakładał rodzinę i pracował, wchodził w Polskę Ludową po trzydziestce, a gdy dochodził do wolnej Polski w 1989 roku miał już dobrze po 70. A co jak się dożywa setki w pełni sił życiowych i twórczych...? To się tak wiele przeżyło i widziało. Bogate jest życie starszki. Wszystko się przy mnie zmieniło" " mówi o sobie Danuta Szaflarska.

Szaflarska urodziła się 6 lutego 1915 roku we wsi Kosarzyska w pobliżu Piwnicznej (dziś tuż przy samej granicy ze Słowacją). Nadal pracuje jako aktorka i to na etacie. Pochodzi z rodziny inteligenckiej, w Kosarzyskach ojciec był nauczycielem, a matka pięknie grała na fortepianie. Jako dziecko chodziła boso i mówiła po góralsku jak jej koleżanki z chłopskich domów. Dopiero przeprowadzka do Nowego Sącza i uczęszczanie do tamtejszego gimnazjum nałożyło niemiły obowiązek chodzenia w butach. Potem była szkoła teatralna w Warszawie, naznaczona siłą charakteru i

talentu Aleksandra Zelwerowicza, wielkiego aktora i wymagającego nauczyciela, który powiedział kiedyś Szaflarskiej: ma Pani za małe oczy jak na aktorkę. I wreszcie pierwsza praca: wyjazd do Wilna do Teatru na Pohulance. 17 września 1939 roku do miasta wkroczyli sowietci. W teatrze podczas przedstawienia wybuchła panika, ale aktorzy dograli do końca spektakl - farsę "Zielone lata" - dla... trzech widzów. Następnego dnia w Wilnie żadna z pań nie nosiła już na ulicy kapelusza, wszystkie założyły chustki i nie było już pań. A ponadto? "Na ulicy zobaczyłam oficera sowieckiego pchającego wózek z dzieckiem. Nie do pomyslenia taki widok w Polsce, aby polski oficer..." mówi pani Danuta w filmie "Inny świat" Doroty Kędzierzawskiej.

Wojna prawdziwa

Z Warszawy, w asyście bomb i wystrzałów, w stronę Wilna, do córki jechała pani Szaflarska. Wiozła córce...dowód osobisty, który Danusia zapomniała wziąć z Warszawy. A dowód mógł być potrzebny. W Wilnie aktorka dowiedziała się o śmierci na froncie młodszego, ukochanego brata. W filmowej spowiedzi mówi: "wzięłam ze sobą z Warszawy na pamiątkę jego szalik i pas harcerski. Wiedziałam, że zginie".

Tymczasem od dowodu bardziej potrzebna była teraz kromka chleba. Potem był powrót do poranionej Warszawy i pierwszy ślub z pianistą Janem Ekierem, słynnym później wydawcą dzieł Chopina. Nie prze-rwał grać domowego koncertu, gdy do mieszkania wpadł pocisk. Tak zaczynało się, być może, znieczulenie na codzienne tragedie, które spadną na wszystkich podczas powstania. Przelatujące koło głowy kule nie robiły wrażenia. "Tak ładnie grały" mówi Szaflarska. Kiedy znieczulenie na śmierć przyszło naprawdę? Chyba wtedy jak usiedliśmy uciekając przed ostrzałem na czyimś grobie i ktoś opowiadał dowcip". Zabici ludzie, wokoło ruiny i pożary. Od tej najbliższej płonącej do nierozwalone-

go jeszcze mieszkania Szaflarskich dochodziło ciepło tak duże, że na balkonie można było rozwiesić przeprane - w zdobytej cudem wodzie "pieluchy. "Nikt z moich najbliższych, którzy byli blisko mnie nie zginął ani nawet nie został lekko ranny. Trudno mi jednak zrozumieć, jak można było przetrwać te 63 dni powstańczej gehenny" " mówiła Szaflarska w jednym z nielicznych wywiadów.

W filmie Kędzierzawskiej aktorka często uśmiecha się lub po prostu śmieje. Raz tylko przerywa monolog, bo zaczyna płakać. To wówczas, gdy wzrusza się na wspomnienie bezinteresownej pomocy, jakiej udzielili uchodźcom z Warszawy mieszkańcy małopolskiej Bochni. Tam były ziemniaki i kapusta i chleb. I posłane łóżka. Szaflarska z rodziną nie śmieli się do nich położyć, żeby nie zostawić po sobie wszy. Spędzili kilka nocy na podłodze, ale gospodarze nie zgodzili się, aby było bez pościeli.

Wojna skończyła się w niby spokojnym Krakowie. Niby, bo i tu wciąż nie było bezpiecznie. Nie spadały pociski, ale wciąż były łapanki, aresztowania. Szaflarska z dzieckiem na rękach, bez żadnych dokumentów, cudem uniknęła śmierci. Choć może nie cudem, ale dzięki swemu tupetowi. Bo czyż nie było tupetem uciekając przed esesmanami wskoczyć do posterunku żandarmerii i domagać się pomocy? Zdumiony żandarm wskazał bezpieczne wyjście a na odchodnym rzucił przyciszonym głosem, ale stanowczo uciekaj.

Wojna po wojnie

Wreszcie koniec. Choć zimno i głodno, ale zaczyna się praca, i to w słynnym Starym Teatrze. Nie na długo. W Krakowie zobaczył uroczą i wyrazistą aktorkę najpierw Stanisław Wohl, a potem Leonard Buczkowski. U tego pierwszego zagrała w filmie "Dwie godziny". Prawdziwą gwiazdą została po premierze "Zakazanych piosenek" w styczniu 1947 roku. W pierwszym

numerze dwutygodnika "Film" to jej podobna zdołała okładkę. Skończyła się prawdziwa wojenna historia Danuty Szaflarskiej, zaczynała jej filmowa historia wojny. Już bez prawdziwego strachu, głodu i znieczulenia na śmierć. Akcja nieznanych powszechnie "Dwóch godzin" toczy się tuż po zakończeniu wojny. Bohaterami są ludzie naznaczeni przez wojnę, wśród nich Weronika (Szaflarska). Obraz pierwszym cenzorom wydał się zbyt mroczny. Premiera odbyła się więc 11 lat później, a film nie wszedł nigdy do powszechnego obiegu. Przeciwnie "Zakazane piosenki". Danuta Szaflarska mówi o filmie, że śpiewająca przeciw okupantowi Warszawa tak właśnie wyglądała. Tu też cenzura po kilku dniach wyświetlania nakazała zmiany. Nakazano podkreślić udział armii sowieckiej w wyzwoleniu miasta, a słuchaczem snującego opowieść warszawskiego muzyka "powstańca" - nie byli koledzy z wytwórni filmowej, a wracający z Polskich Sił Zbrojnych żołnierze, zupełnie nieznanymi

prawdziwej wojny i dowiadujący się dopiero teraz o piekle okupacji. Były jeszcze inne filmy wojenne z udziałem Szaflarskiej. Poniekąd "wojenna" rola trafiła się znakomitej aktorce nie tak dawno w filmie "Pokłosie", ale to już zupełnie inna historia.

ms

Fotografia: Danuta Szaflarska (lata 40?), [Narodowe Archiwum Cyfrowe](#), CC-BY-NC.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.



Utworzenie getta łódzkiego



Podczas okupacji niemieckiej na terenach polskich powstało około czterystu gett. Utworzenie oddzielnych dzielnic dla Żydów propaganda niemiecka tłumaczyła zagrożeniem epidemiami, których mieli być oni jakoby roznośicielami. W istocie jednak był to element zakrojonej na szeroką skalę akcji eksterminacyjnej.

Największe na ziemiach wcielonych do Rzeszy było getto łódzkie, utworzone na podstawie zarządzenia prezydenta policji w Łodzi Johanna Schäfera z 8 lutego 1940. Projekty jego utworzenia pojawiły się już w grudniu 1939 roku, o czym świadczy tajny okólnik prezesa rejencji kaliskiej Friedricha Übelhóra. 30 kwietnia 1940 ostatecznie zamknięto granice getta. Przebywało w nim wówczas 160 320 Żydów. Liczba ta stale się zwiększała, ponieważ kierowano tam ludność żydowską z Austrii, Czech, Luksemburga i Niemiec, a także z prowincjonalnych gett z obszaru Kraju Warty.

Teren getta obejmował najbiedniejszą i najbardziej zaniedbaną część Łodzi - Bałuty i podupadłe już wtedy Stare Miasto, a jego powierzchnia liczyła 4,13 km². Po 30 czerwca 1942 roku obszar ten zmniejszono do 3,82 km². Gęstość zaludnienia była olbrzymia - na kilometr kwadratowy przypadało 42 587 osób.

Dzielnica żydowska była ściśle izolowana od reszty miasta. W jej obrębie wprowadzono bony markowe jako jedyny środek płatniczy, ograniczono ruch pocztowy, a także łączność telefoniczną. Na wzór pozostałych gett i tu utworzono samorząd żydowski, na którego czele stał Chaim Mordechaj Rumkowski. W styczniu 1942 rozpoczęto deportacje do obozów zagłady w Chełmnie nad Nerem i Auschwitz. Gdy 19 stycznia 1945 zajęto Łódź, w gettcie ocalało 877 Żydów.

JB

Fotografia: niemiecka tablica z informacją o utworzeniu getta i zakazie wstępu na jego obszar osobom postronnym, [Deutsches Bundesarchiv](#), CC-BY-NC.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.



VII Wakacje z historią

3-12.08.2018
TWIERDZA KŁODZKO

Wakacje z historią to połączenie rodzinnego wypoczynku, eksploracji oraz wolontariatu na rzecz gospodarza imprezy.

Jak co roku planujemy dla uczestników szereg atrakcji m.in.: wycieczki, konkursy. Wśród wolontariuszy zostaną rozlosowane cenne nagrody.

Już teraz warto pomyśleć o wakacyjnym urlopie, aby wziąć udział w tym wydarzeniu. Liczba miejsc ograniczona. Decyduje kolejność zgłoszeń.

www.eksplor.org
tel: 602 688 672

ORGANIZATORZY:



Francja cz. 2

8x50 R Lebel



Producent: Atelier de Construction d'Alger (AR), dostawca mosiądzu: Cie generale d'electro-metallurgie, usine de Dives (D). Wyprodukowano w trzecim kwartale 1918 roku.



Producent: Atelier de Construction de Douai (ADI), dostawca mosiądzu: Atelier de laminage de l'E.C.P. de Bourges (BS). Wyprodukowano w trzecim kwartale 1907 roku.



Producent: Atelier de Construction de Douai (ADI), dostawca mosiądzu: Crozet-Fourneyron au Chambon-Feugerolles (CY). Wyprodukowano w drugim kwartale 1912 roku.



Producent: Atelier de Construction de Douai (ADI), dostawca mosiądzu: SA cuivre & Alliage a Ham (M). Wyprodukowano w pierwszym kwartale 1908 roku.



Producent: Atelier de Construction de Puteaux (APX), dostawca mosiądzu: Atelier de laminage de l'E.C.P. de Bourges (BS). Wyprodukowano w drugim kwartale 1915 roku.



Producent: Atelier de construction de Puteaux (APX), dostawca mosiądzu: Cie generale d'electro-metallurgie, usine de Dives (D). Wyprodukowano w drugim kwartale 1905 roku.



Producent: Atelier de Construction de Rennes (A.RS), dostawca mosiądzu: Atelier de laminage de l'E.C.P. de Bourges (BS). Wyprodukowano w drugim kwartale 1930 roku.



Producent: Atelier de Construction de Rennes (A.RS), dostawca mosiądzu: SA cuivre & Alliage a Ham (M). Wyprodukowano w pierwszym kwartale 1916 roku.



Producent: Atelier de Construction de Rennes (A.RS), dostawca mosiądzu: Societe des trefileries et laminoirs du Havre, usine de Rugles (R). Wyprodukowano w czwartym kwartale 1928 roku.



Producent: Atelier de Fabrication de Toulouse (ATE), dostawca mosiądzu: Cie française des metaux, usine de Castelsarrasin (C). Wyprodukowano w trzecim kwartale 1912 roku.



Producent: Atelier de Fabrication de Toulouse (ATE), dostawca mosiądzu: Societe des trefileries et laminoirs du Havre, usine de Rugles (R). Wyprodukowano w trzecim kwartale 1914 roku.



Producent: Atelier de Fabrication de Toulouse (ATE), dostawca mosiądzu: Societe industrielle et commerciale des metaux lub Cie française des metaux, usine de Serifontaine (S). Wyprodukowano w czwartym kwartale 1913 roku.

JARO



 **WYŻSZA SZKOŁA BIZNESU**
DĄBROWA GÓRNICZA • CIESZYN • OLKUSZ • ŻYWIEC • KRAKÓW

Marzec w Legnicy



Informacje o wydarzeniach marcowych w stolicy docierały do Legnicy różnymi kanałami. Te oficjalne, jak prasa codzienna, radio i telewizja, regularnie podawały wieści z kraju. Propagandowa machina władz komunistycznych pracowała na pełnych obrotach, a efekty jej pracy trafiały na łamy dolnośląskiej prasy, gdzie jednoznacznie potępiano wszelkie wystąpienia studenckie, przekazywano wieści o solidaryzowaniu się społeczeństwa polskiego z PZPR i Władysławem Gomułką oraz wskazywano winnych całego zamieszania. Podobne informacje przekazywano na zebraniach lokalnych komórek partyjnych. W czasie jednej z konferencji sprawozdawczych, odbywającej się w podlegnickich Krotoszycach, jeden z uczestników mówił: Prasa codzienna, radio, telewizja informowały nas w ostatnich dniach o zajściach na Uniwersytecie Warszawskim, wydarzeniach na ulicach Warszawy. Sprawy te wywołały głębokie poruszenie w całym społeczeństwie i zmuszają do poważnych refleksji. Co kryję się za ulicznymi awanturami, jaki był przebieg, charakter i przyczyny wydarzeń, z którymi mieliśmy do czynienia (...)?

W legnickich strukturach PZPR dyskutowano też o powodach zdjęcia z desek Teatru Narodowego w Warszawie mickiewiczowskich „Dziadów” w reżyserii Kazi-

mierza Dejmka, manifestacjach we Wrocławiu i przyłączeniu się do protestu Związku Literatów Polskich. Zachowany protokół z posiedzenia egzekutywy miłkowskiego węzła kolejowego pokazuje, że wszystkie te wydarzenia relacjonowano bardzo skrupulatnie i szczegółowo.

Równocześnie, w mediach zaczęły pojawiać się głosy o wrogiej działalności ludności żydowskiej (syjonistów) oraz rewizjonistów z Zachodu. Był to zwiastun mającej nadejść niebawem kampanii antysyjonistycznej, wymierzonej w mniejszość żydowską w Polsce. Należy ją traktować jako kolejny etap kampanii antyizraelskiej, trwającej od czasu wybuchu wojny sześciodniowej – polskie władze, podobnie jak Związek Radziecki, uznały działania Izraela za jawną agresję i 12 czerwca 1967 roku zerwały stosunki dyplomatyczne z tym państwem. Jednocześnie rozpoczęto kampanie, mającą na celu usprawiedliwienie tej decyzji oraz odpowiednie „nastawienie” polskiego społeczeństwa. 17 czerwca 1967 roku, w czasie VI Kongresu Związków Zawodowych, z ust Władysława Gomułki padły pamiętne słowa o „piątej kolumnie”. Efekty tych działań były widoczne również w Legnicy, gdzie już od połowy 1967 roku odnotowywano wypowiedzi antyżydowskie oraz szykany wobec tutejszych Żydów. Podobnie sytuacja w

mieście wyglądała w marcu 1968 roku, w przededniu manifestacji.

Jak mało przekonująca musiała być ta propaganda świadczą informacje z dziennika Tadeusza Gumińskiego, wówczas dyrektora tutejszego Muzeum Miedzi, który w swoim wpisie z 12 marca, odnotował:

Oryginalne chwytły urzędowej propagandy są tak przejrzyste, że poznają się na nich nawet ludzie prości. Wynika to z wypowiedzi także pracowników fizycznych w Muzeum, które ani rusz nie mogą się dopatrzyć syjonistów, agentów NRF wśród sprawców rozruchów na wyższych uczelniach.

Istniała też inna, nieoficjalna droga. Byli nią tzw. emisariusze, czyli studenci, najczęściej absolwenci legnickich szkół średnich, którzy przyjeżdżając do miasta przekazywali informacje i materiały tutejszej młodzieży. Czasem w rolę „emisariuszy” wcielali się ludzie przybywający z Wrocławia, którzy na miejscu dzielili się posiadaniem przez siebie informacjami, a niekiedy po prostu krążącymi tu i ówdzie plotkami.

Lokalne władze z niepokojem obserwowały rozwój wydarzeń w kraju. W zakładach pracy zarządzono specjalne dyżury. Wprowadzony został także tymczasowy zakaz sprzedaży mocniejszych alkoholi, takich jak wino i wódka. Wiele uwagi przywiązywano do sytuacji w szkołach. Legnicy nauczyciele, kierowani poleceniami z góry, starali się wyjaśnić swoim podopiecznym „o co studentom właściwie chodzi”. Przeprowadzono rozmowy z uczniami, których przestrzegano przed jakimikolwiek udziałem w ewentualnych protestach. Jak wspomina Zbigniew Fudali, wówczas uczeń klasy maturalnej Technikum Samochodowego w Legnicy, on i jego koledzy zostali ostrzeżeni przez swoich pedagogów, iż może się to dla nich skończyć nawet niedopuszczeniem do matury. 14 marca 1968 roku we wszystkich szkołach w Legnicy odbyły się zebrania, w czasie których potępiono wydarzenia mające miejsce w Warszawie. Jednocześnie

wydano zarządzenie, które zakazywało niepełnoletnim przebywania na ulicach miasta bez opieki osoby dorosłej po godzinie ósmej wieczorem.

Dzień pierwszy

Plakaty i transparenty, informujące o planowanej manifestacji, miały pojawić się już 14 marca. Wiec miał się odbyć kolejnego dnia na Placu Wilsona (godz. 17:00). 15 marca wieści o planowanym na popołudnie wiecu krążyły już po całym mieście. Pojawiały się kolejne plakaty i afisze – jeden z nich brzmiał „Precz z kliką Gomułka Cyrankiewicz”. Z kolei na budynku Technikum Samochodowego nieznanymi sprawcami namalował napis: „Warszawa walczy, a ty?”.

Około godziny 17:00 na placu Wilsona zaczęli gromadzić się ludzie, głównie młodzież. Nie brakowało również gapiów. Gdzieś około godziny 18:00 uformował się pochód, który ulicą Witelona ruszył w stronę Placu Słowiańskiego. Na jego czele niesiono transparent z napisem „popieramy studentów warszawskich”. Odnotowano też hasło „solidaryzujemy się ze studentami Warszawy”. Wszystkiemu miały towarzyszyć gwizdy i „okrzyki wrogiej treści”. Obserwując całą tę sytuację oddziały milicji na razie nie interweniowały. Zabezpieczony został jednak Pomnik Przyjaźni Polsko-Radzieckiej na Placu Słowiańskim. Znajdujący się przy tym samym placu Ratusz był już o tej godzinie nieczynny, postanowiono więc udać się pod Zamek Piastowski, wówczas siedzibę Studium Nauczycielskiego.

Maszerujący tam ludzie mieli nadzieję, że słuchacze z tamtejszego internatu dołączą do protestu. Zawiedli się jednak, bo ci nie mieli najmniejszego zamiaru przyłączyć się do protestujących. W międzyczasie funkcjonariusze MO zagrodzili protestującym drogę na dziedziniec zamkowy. Tam wielokrotnie wezwano zgromadzonych do rozejścia się. Równocześnie pojawiły się oddziały Milicji Robotniczej, składającej się głównie z członków załogi Huty Miedzi w Legnicy (podobno na miejsce przy-

jechali autokarami z napisem „wycieczka”). Hutnikom przewodził Marian Kot, Pierwszy Sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR, który za pomocą tuby wzywał zgromadzonych ludzi do rozejścia. Wobec tego, że na wezwanie odpowiedziano kamieniami, rozpoczęto akcję pacyfikacji. Kiedy nastąpił odpowiedni moment, hutnicy wraz z MO i ORMÓ przystąpili do rozpędzania zgromadzenia. W stronę interweniujących służb poleciały kamienie i cegły. Doszło do regularnej bitwy. Manifestujący zostali rozproszeni.

Grupki manifestantów ruszyły spod Zamku w stronę Rynku i Placu Wilsona. Tam zaś też cały czas było niespokojnie. Krzysztof Kosierb wspomina, że idąc w godzinach popołudniowych przez legnicki Rynek był świadkiem walk, toczonych między protestującymi a brutalnie interweniującą milicją. Z kolei na Placu Wilsona doszło niebawem do zawiązania się kolejnej demonstracji. Do akcji wkroczyły jednak oddziały MO i ORMÓ. Po raz kolejny doszło do pałowania ludzi. Interweniujące służby szybko rozpędziły to zgromadzenie i opłynały sytuację. Jak podawano, już o godzinie 20:00 w mieście miał panować spokój. Nie odnotowano już żadnych nowych prób zwołania demonstracji. Prewencyjnie postanowiono jednak podjąć specjalne środki ochrony w okolicach sektorów miasta zamieszkanym przez obywateli radzieckich. W czasie pierwszego dnia zamieszek aresztowano około dwudziestu osób.

Dzień drugi

Rankiem 16 marca do Legnicy skierowano posiłki ze Słupska – pięćdziesięciu funkcjonariuszy z tamtejszej Szkoły Podoficerskiej Milicji Obywatelskiej. Jednocześnie do miasta wróciło dwudziestu milicjantów wysłanych wcześniej do Wrocławia. Starano się za wszelką cenę nie dopuścić do sytuacji, w której na ulicę miasta wyszliby ponownie uczniowie legnickich szkół. Próbowano interweniować wśród rodziców i nauczycieli. 16 marca 1968 roku, w czasie spotkania pracowników Prezydium

Powiatowej Rady Narodowej w Legnicy, poświęconego omówieniu zająć z dnia poprzedniego, sekretarz zaapelował do obecnych na zebraniu rodziców „ażeby otoczyli należytą opieką swoje dzieci”. Podobne polecenia wydawano nauczycielom, którym zalecano „wzmożenie dyscypliny pracy”.

Na takie działania było już chyba jednak za późno. Informacje o kolejnej manifestacji obiegły już całe miasto. Odnotowane zostały liczne ulotki nawołujące do udziału w wiecu. Jego początek zaplanowano na godzinę 17:00. Nastroje wśród tutejszych uczniów były zaś niekiedy wręcz bojowe – w restauracji „Polonia” spore zamieszanie wywołała grupa kilkunastu uczniów Zespołu Szkół Spożywczych, którzy najpierw przy stole, a następnie już na ulicy wzywali do manifestacji. W stronę milicjantów rzucali wyzwiskami: „hitlerowcy, mordercy, sprzedawczyki”.

Pierwsi manifestanci pojawili się na Placu Wilsona około godziny 16:00. Większość z nich stanowiła młodzież w wieku od 12 do 18 lat. Wśród nich był Krzysztof Kosierb, wówczas uczeń ósmej klasy szkoły podstawowej, który jak wspomina przybył na plac niesiony zwykłą ciekawością. Jak dodaje, takich „gapiów” było o wiele więcej:

Towarzyszyli mi dwaj koledzy. Nie byliśmy jedyni. Mało kto z mojej szkoły tam nie poszedł. No zwykła ludzka ciekawość. Kto by nie poszedł? Coś się dzieje, to się idzie. Nawet jeżeli chciało się tylko popatrzeć.

Na znajdującym się wówczas w centralnej części placu drogowskowie zawieszony został duży transparent z napisem „Prasa kłamie”. Z okolicznych balkonów rozrzucone zostały ulotki o treści „Precz z komunizmem”, „Wolność studentom”, „Precz z socjalizmem”, „Precz z Gomułką”, „Chcemy Wolnej Polski” i „Żądamy zmiany Rządu”. Pojawiły się też białoczerwone flagi. Jednocześnie doszło do aktów wandalizmu – zniszczona została sygnalizacja świetlna. Gdzieś około godziny 18:00 na placu zebrało się już około

trzech lub nawet czterech tysiące osób. Wznoszono „wrogie okrzyki”. Milicja wzywała zgromadzonych ludzi do rozejścia się. Bezskutecznie.

Sytuacja robiła się coraz bardziej napięta. W pewnym momencie miało dojść do incydentu, który zainicjował interwencję milicji – starsza kobieta zerwała wiszący na drogowskazie afisz, czym sprowokowała część manifestantów. Zaatakowanej kobiecie mieli przyjść z pomocą funkcjonariusze. Nie wiadomo, na ile jest to wiarygodna wersja, jednak pojawia się zarówno w materiałach partyjnych, jak i w dokumentacji milicji. Nie można wykluczyć, że to jeszcze jedno „wybielanie” brutalności milicji.

Drugi dzień z rzędu doszło na ulicach Legnicy do walk. Przeciwno manifestującym został wysłany 120-osobowy oddział MO. W ruch poszły pałki. Broniący się ludzie odpowiedzieli kamieniami, butelkami, słoikami czy nawet żelaznymi prętami. Z okien pobliskich domów rzucono czym popadnie, np. cegłami czy doniczkami. W niektórych miejscach doszło do budowy barykad z kubłów na śmieci. Jednakże demonstrujący dosyć szybko zostali rozproszeni – największa grupa, licząca około 500 osób, przeszła w rejon ulicy Rosenbergów (obecnie ul. Najświętszej Marii Panny). Mniejsze grupki ludzi szukały schronienia w bramach kamienic. Dalszy opór był jednak daremny. O godzinie 20:20 komenda MO w Legnicy poinformowała o opanowaniu sytuacji w mieście. W celu utrzymania porządku po mieście krążyły wzmożone patrole MO i ORM. Do milicyjnego aresztu trafiły trzy osoby.

Dzień trzeci

Noc z 16 na 17 marca 1968 roku nie należała do najspokojniejszych. Miasto znajdowało się pod ścisłą kontrolą funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa. Pojawiły się jednak kolejne ulotki wzywające do manifestacji. Już tradycyjnie miała się ona odbyć na placu Wilsona o godzinie 10:00. Jak odnotowano, rozrzucone druki charak-

teryzowały „rażące błędy ortograficzne”. Pomimo tego lokalne władze nie przypuszczały, że dojdzie do kolejnych protestów. Po konsultacjach w gronie legnickiego aktywu KP PZPR postanowiono ograniczyć działania do wysłania w miasto nieumundurowanych patroli MO. Kierowano się głównie krążącymi po mieście opiniami, że to milicja odpowiada za sprowokowanie zamieszek i nieuzasadnione użycie pałek wobec obywateli.

Jednocześnie, lokalne komórki PZPR pracowały nad uspokojeniem nastrojów wśród swoich członków, starając się przywołać ich do porządku – jak się bowiem okazało, niejednokrotnie dochodziło do sytuacji, w których dzieci osób należących do PZPR miały brać udział w manifestacjach. Do jednego z takich zebrań doszło w Technikum Samochodowych, gdzie tamtejsza Podstawowa Organizacja Partyjna spotkała się z rodzicami należącymi do partii. Wystosowano apel o zwracanie szczególnej uwagi na „wszelkie przejawy wichrzycielstwa i rozrabiactwa”. Stefan Gołąbek, ówczesny dyrektor placówki, w trakcie tego spotkania mówił, iż „zadaniem nauczycieli i rodziców jest niedopuszczenie młodzieży szkolnej do zajęć i ekscesów ulicznych, bezwzględne utrzymanie dyscypliny w szkole i w domu”. Działy też władze kuratorium – dyrektorzy szkół otrzymali pełnomocnictwa, pozwalające im na powzięcie specjalnych działań względem uczniów biorących udział w manifestacjach. Niebawem miano z nich skorzystać. Do zapowiadanego na godzinę 10:00 zgromadzenia na Placu Wilsona faktycznie doszło, jednakże jego skala była niewielka. Na placu zebrało się kilka małych grup młodzieży, które wznosiły „wrogie” okrzyki oraz rozdawały przechodniom ulotki. Jednym z haseł na nich umieszczonych było „precz z Moczarem i Gomułką”. Do akcji wkroczyli milicyjni tajniacy, którzy rozpoczęli legitymowanie zgromadzonych tam ludzi. Przewodniczyć im miał niespełna osiemnastoletni Zdzisław Łuczkiwicz, który jak odnotowano w jednym z milicyjnych szyfrogramów, w czasie legi-

tymowania miał uderzyć funkcjonariusza MO. Trafił do aresztu, a później do więzienia, gdzie otrzymał prokuratorskie zarzuty. Po zatrzymaniu „prowodyra”, zgromadzeni ludzie opuścili plac.

Brak czujności ze strony lokalnych władz pozwolił na powstanie następnego zgromadzenia, które około godziny 19:00 zablokowało ruch samochodowy na Placu Wilsona. Większość przybyłych stanowili gapię – aktywny udział w manifestacjach miało brać około czterystu osób. Doszło do kolejnych aktów wandalizmu: wybito szybę wystawową w sklepie tekstylnym „Adaś i Ewunia” i zdemolowano drogowskaz na środku placu. Na jezdnię wyrzucono dużą ilość kamieni, a w wyniesionych z podwórek śmietnikach wzniecono ogień. Obrzucono przejeżdżające samochody – autobus PKS-u, samochód należący do wojsk radzieckich oraz samochód sekretarza KP PZPR w Legnicy. Do akcji skierowano 120-osobowy oddział milicji. Manifestantów dosyć szybko rozpedzono. Około godziny 21:00 w mieście miał zapanować spokój.

W wyniku działań służb zatrzymano ponad sto osób. Rejestracja zatrzymanych trwała do późnych godzin nocnych. Aresztowanych było tak dużo, że część z nich została przewieziona do aresztów w sąsiednich powiatach – w Bolesławcu, Jaworze i Środzie Śląskiej. Łącznie przekazano tam kilkadziesiąt osób. Osoby niepełnoletnie zostały oddane w ręce rodziców, z którymi odbyto rozmowy ostrzegawcze. Tylko w jednym przypadku odnotowano emocjonalną reakcję rodzica, który miał mieć pretensje, iż pobito jego dziecko.

Tak zdecydowane działania wobec protestujących miały zapobiec kolejnym próbom organizacji manifestacji. Zamierzony efekt osiągnięto, bo do kolejnych protestów na ulicach miasta już nie doszło.

Bilans

Brak jednolitych danych, ile osób zostało łącznie zatrzymanych w związku z manifestacjami marcowymi w Legnicy. Wedle danych komendanta powiatowego MO w

Legnicy z 18 marca 1968 roku, było ich 133 w tym cztery kobiety, 84 małoletnich oraz 45 osób powyżej 21 roku życia. Inne dane podają wysłannicy Komendy Głównej MO w Warszawie, którzy w notatce z 21 marca 1968 roku odnotowali, że zatrzymano 168 osób, w tym 107 osadzono w areszcie.

Kwestią priorytetową było dla władz miasta jak najszybsze pociągnięcie do odpowiedzialności aresztowanych manifestantów. Miał zostać zastosowany wobec nich tzw. tryb przyspieszony. Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Legnicy przesłało do Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej we Wrocławiu wniosek o wprowadzenie w stosunku do „sprawców zbiorowych awantur ulicznych (...) jakie miały miejsce (...) na terenie miasta Legnicy” przyspieszonego trybu postępowania karno-administracyjnego. Jednakże większość zatrzymanych dosyć szybko opuściła areszt. W sumie zarzuty prokuratorskie usłyszało jedenaście osób.

Bibliografia:

Archiwalia:

Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie:

sygn. 1585/4469.

Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej we Wrocławiu:

sygn. 053/562, 053/565 t. 1-2, 053/566, 052/1634 t. 1-2, 565/626 t. 3.

Archiwum Państwowe we Wrocławiu:

Komitet Powiatowy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Legnicy z lat 1948-1975.

Komitet Wojewódzki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej we Wrocławiu z lat 1948-1990.

Archiwum Państwowe we Wrocławiu. Oddział w Legnicy:

I Liceum Ogólnokształcące im. Tadeusza Kościuszki w Legnicy (1945-1984).

Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Legnicy z lat [1948] 1950-1971.

Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Legnicy z lat 1950-1971.

Studium Nauczycielskie w Legnicy [1962-1963] 1964-1977 [1978-1981].

Prasa:

„Słowo Polskie” 1968.

„Gazeta Robotnicza” 1968.

„Wieczór Wrocławia” 1968.

Wspomnienia, dzienniki i relacje:

Legnica w czasach PRL (7) Złote zęby i kiszona kapusta. Z Mieczysławem Murdzkiem rozmawia Włodzimierz Kalski, „Konkrety” 2001, nr 18 [3 marca], s. 17.

Dzienniki Tadeusza Gumińskiego, t. 42 (zbiory Legnickiej Biblioteki Publicznej).

Relacja Krzysztofa Kosierba (w zbiorach autora).

Relacja Macieja Juniszewskiego (w zbiorach autora).

Relacja Phyllis Fogelman-Zindell (w zbiorach autora).

Relacja Zbigniewa Fudalego (w zbiorach autora).

Opracowania:

Eisler Jerzy, *Polski rok 1968*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2006.

Kamiński Łukasz, *Marzec prowincjonalny*, „Tygodnik Powszechny” 2003, nr 11 [16 marca], s. 4.

Kondusza Wojciech, *Mała Moskwa. Rzecz o radzieckiej Legnicy*, wyd. II, Wydawnictwo Edytor, Legnica 2011.

Kowalak Czesław, *Marzec '68 w Legnicy*, „Szkice Legnickie” 2002 [t. 23], s. 137-150.

Oblicza Marca 1968, pod red. Konrada Rokickiego i Sławomira Stępnia, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2004.

Suleja Włodzimierz, *Dolnośląski Marzec '68. Anatomia protestu*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2006.

Suleja Włodzimierz, *Marzec '68 na Dolnym Śląsku – wprowadzenie*, [w:] *Wokół Marca '68 na Dolnym Śląsku*, pod red. Joanny Hytrek-Hryciuk i Wojciecha Trębacza, Instytut Pamięci Narodowej, Wrocław 2008.

Zaremba Marcin, *Gomułka i piąta kolumna. U źródeł antysemickiej kampanii*, [w:] *Yesterday. Studia z historii najnowszej. Księga dedykowana prof. Jerzemu Eislerowi w 65. rocznicę urodzin*, pod red. Jana Ołazka, Antoniego Dudka i in., Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2017, s. 549-561.

Marek Żak

materiał został opublikowany na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 3.0 Polska.
miejsce pierwotnej publikacji – Portal historyczny Histmag.org



Początki oporu Wielkopolan przeciwko hitlerowskiemu okupantowi



Już kilka dni po wybuchu II wojny światowej i przekroczeniu granicy polsko-niemieckiej przez wojska III Rzeszy, niemal cała Wielkopolska znalazła się pod okupacją. Jako ostatnie miasto 19 września

zajęte zostało Koło. Sytuacja tego regionu pod niemiecką kontrolą była odmienna od większości okupowanych ziem polskich – od 8 października 1939 roku wszedł on w skład Reichsgau Posen (Okręg Rzeszy Poznań), a 29 stycznia 1940 roku określony

został jako Reichsgau Wartheland (Okręg Rzeszy Kraj Warty). Oznaczało to, że kolbka polskości została administracyjnie wcielona do nazistowskich Niemiec. Wielkopolanie stanęli w sytuacji wręcz tragicznej – zamieszkiwali obszar, który został przeznaczony do całkowitej germanizacji, a hitlerowska machina starała się przyspieszyć ten proces na wiele sposobów.

Wprowadzono nowe prawa, przewidujące karę śmierci za każdy przejaw oporu wobec okupanta. Wszelkie, nawet podstawowe obszary działalności i życia ludności polskiej były kontrolowane, inwigilowane i śledzone przez szereg niemieckich służb. Swoją pracę na nowych terenach natychmiast zaczęły Kripo (Policja Kryminalna), Gestapo (Tajna Policja Państwowa), SD (Służba Bezpieczeństwa) i wiele innych formacji policyjnych, a także Abwehra (Wywiad Wojskowy). Obrazu tego pełnego zagrożeń otoczenia dopełniał duży odsetek Niemców zamieszkujących Wielkopolskę, którzy w ogromnej większości nie pałali do swoich sąsiadów sympatią. Dodatkowo już w pierwszych miesiącach okupacji rozpoczęto szeroką akcję kolonizacji Kraju Warty nowymi niemieckimi osiedleńcami.

Nowi „gospodarze” zadbali też o odpowiednią infrastrukturę, która pozwalała na sprawne egzekwowanie drakońskich praw i kontrolę nad Polakami. Łącznie w Wielkopolsce powstało ponad 60 obozów koncentracyjnych, pracy oraz jenieckich różnej wielkości, 28 dużych więzień, w których osadzano skazanych i podejrzanych oraz wykonywano wyroki śmierci, 8 gett, 3 duże obozy przesiedleńcze dla ludności polskiej oraz jeden obóz masowej zagłady. Nasuwa się pytanie – jak w takich warunkach prowadzić jakąkolwiek formę walki z wrogiem? Sytuacji w tym względzie nie poprawiały też warunki naturalne. Lasów rozłożonych na wielkopolskich równinach było zdecydowanie mniej niż w innych częściach Polski, za to gęstość sieci linii kolejowych i dróg oraz urbanizacja były

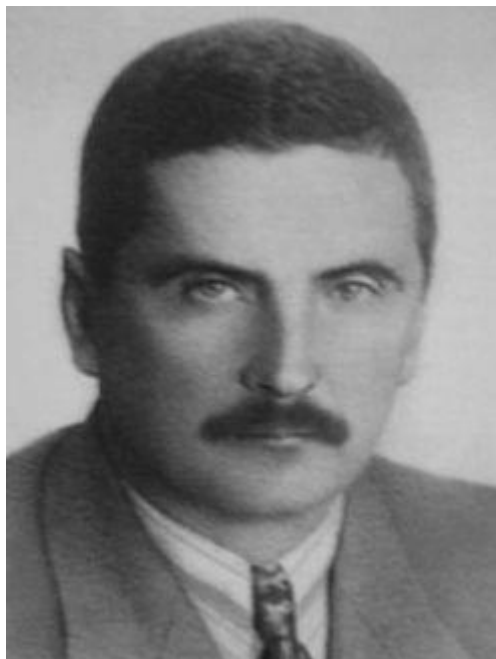
znacznie większe. To jednak nie powstrzymało determinacji Wielkopolan, którzy mimo hitlerowskiego terroru walczyli na wiele sposobów z okupantem.

Narodziny konspiracji wielkopolskiej

Już w pierwszych miesiącach okupacji duch oporu był w Wielkopolsce bardzo silny. Początkowo przede wszystkim objawiał się on w sabotowaniu i opieraniu się zarządzeniom niemieckim. Już na przełomie września i października zaczęły powstawać rozmaite organizacje konspiracyjne o wielu profilach działania – polityczne, edukacyjne, ale także wojskowe. W pierwszym roku okupacji powstało około 40 takich organizacji, a ich liczebność wahała się między kilkunastoma, a nawet kilkuset osobami. Wart uwagi jest fakt początkowego mocnego rozbicia wśród tych grup. Inicjatywy wypływały z najrozmaitszych źródeł. Obecne były organizacje o korzeniach i zasięgu ogólnopolskim, jak Służba Zwycięstwu Polski (założona 27 września 1939 roku w Warszawie – później Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa), najwięcej jednak było grup o proveniencji czysto regionalnej, rozproszonych po wielu ośrodkach wielkopolskich, głównie w przedwojennych miastach powiatowych.

W pierwszych miesiącach stosunki pomiędzy wspomnianymi grupami były bardzo nieufne, co uwydatniało się zwłaszcza w przypadku kontaktów na linii Wielkopolska-Warszawa. Główną przyczyną tego stanu rzeczy były zadawnione konflikty polityczne. Wszystkie inicjatywy centralne w Wielkopolsce (a zwłaszcza w wojskowych kręgach poznańskich) spotykały się niemal z wrogością, gdyż postrzegano je przez pryzmat konfliktów z okresu II Rzeczypospolitej – przede wszystkim wcale nie zapomnianego przewrotu majowego. Płk Stefan Rowecki dobrze znał mentalność Wielkopolan i wolał czekać na ruch ze strony władz tamtejszych organizacji,

co również przełożyło się na opóźnienie obustronnych rozmów.



Plk/gen. Stefan Rowecki ps. „Grot”, komendant ZWZ-AK (domena publiczna).

W tym czasie do konsolidacji powoli przystępowały środowiska konspiracyjne z ziem wielkopolskich i części dawnego województwa łódzkiego. 8 grudnia 1939 roku największe organizacje o profilu wojskowym, takie jak Polska Organizacja Zbrojna, Wielkopolska Organizacja Wojskowa, Wielkopolska Organizacja Zbrojna oraz Wojsko Ochotnicze postanowiły wspólnie stworzyć Wojskową Organizację Ziemi Zachodnich. Badacze szacują jej liczebność na ponad tysiąc zaprzysiężonych członków na początku 1940 roku. Podstawą organizacji był konspiracyjny system trójkowy, który przy maksymalizacji bezpieczeństwa zapewniał też sprawność działania, polegającego głównie na prowadzeniu akcji wywiadowczych, rekrutacyjnych i gromadzeniu broni.

Wciąż jednak niezależnie na tych terenach działała Tajna Polska Organizacja Wojskowa zachowująca stałą łączność z Komendą Główną SZP. Głównym orędowni-

kiem ścisłej współpracy z Centralą był dowódca, rotmistrz Marian Winiewicz. Badacze długo prowadzili spór czy TPOW podporządkowała się SZP w 1939 roku, czy od wiosny 1940 działała w ramach WOZZ. Wartość jej była znaczna, gdyż była to pierwsza organizacja dywersyjno-sabotażowa na ziemiach zachodnich. Powoli jednak dojrzewano do kroków mających na celu połączenie wysiłków niepodległościowych na całym obszarze kraju.



Zmienione przez Niemców tabliczki z nazwami ulic w Poznaniu, 1939 rok (fot. ze zbiorów Bundesarchiv, Bild 183-E11572, opublikowano na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 3.0 Niemcy](#)).

Wielkopolska katastrofa

13 listopada 1939 roku Rząd RP na Uchodźstwie przekształcił Służbę Zwycięstwu Polski w Związek Walki Zbrojnej. Instrukcje adresowane do pułkownika Roweckiego dotarły do kraju w grudniu. W jej myśl przedwojenne terytorium Polski podzielono na sześć obszarów. Numerem „5” określony został Poznań. Siłą rzeczy wykonanie instrukcji musiało oznaczać organizację szerokiej konspiracji w Wielkopolsce, a nie można było tego zrobić bez porozumienia z WOZZ. W roku 1939 na terenie Wielkopolski powstawały już komórki ZSP, których głównym celem była organizacja dywersji na obecnym terenie Rzeszy, jednak kontakty obu środowisk nadal pozostawały niemiłe. Rozmowy scaleniowe podjęto w lutym 1940 roku. Do Poznania specjalnie w tym celu wydele-

gowany został kurier rządowy w osobie majora Jerzego Michalewskiego ps. „Dokładny”.

Misja musiała być owocna, gdyż już 8 lutego pułkownik Rowecki w raporcie dla rządu w Paryżu sformułował propozycję wspólnej organizacji Okręgu ZWZ na Wielkopolskę. Pod koniec tegoż miesiąca przywódcy największych organizacji wojskowych z poznańskiego zostali zaproszeni na rozmowy do Warszawy. Ich owocem było powołanie na początku kwietnia specjalnego komitetu, mającego sprawować funkcję władzy naczelnej Okręgu Poznańskiego Związku Walki Zbrojnej. Jego członkami zostali przywódcy pięciu największych organizacji. Ogromne zasługi dla pomyślnego rozwoju struktur ZWZ w Wielkopolsce, a co za tym idzie dla rozmów scaleniowych, miała organizacja „Ojczyzna” – dobrze rozbudowana struktura cywilna o charakterze ogólnopolskim. Na początku 1940 roku udostępniła ona całe swoje zaplecze tworzącemu się w Wielkopolsce ZWZ, stale też działała na rzecz scalenia konspiracji krajowej.

Tymczasem w połowie kwietnia 1940 roku w wielkopolską konspirację uderzył silny cios. Niemieckie służby przeprowadziły z dawna przygotowywaną akcję aresztowań, która trwała aż do czerwca. W jej wyniku aresztowano wielu członków WOZZ, m.in. jej dowódcę, kapitana Leona Kmiotka. Rozbita została także Tajna Polska Organizacja Wojskowa, z której jedynym ocalałym trzonem był Wydział Dywersyjno-Sabotażowy, który przekształcił się w Związek Odwetu. Ten z kolei podporządkował się już bezpośrednio ZWZ, zachowując swój dotychczasowy profil działalności. WOZZ także została właściwie rozbita. Przejęcie przez Niemców archiwum organizacji wraz z aresztowaniem kapitana Kmiotka spowodowały w szeregach popłoch i zamieszanie. Aresztowanych zostało ponad 400 zaprzysiężonych członków. Zapadło 86 wyroków śmierci, wszyscy pozostali skazywani byli na lata obozów

koncentracyjnych lub obozów pracy. Wielu z tych, którym udało się przetrwać zakonspirowało się tak mocno, że jeszcze w 1941 roku nie wiedzieli o akcjach scaleniowych z 1940 i o ile w ogóle dalej działali, to w ramach WOZZ (które *de facto* już samodzielnie nie funkcjonowało), gdyż nikt nie mógł nawiązać z nimi kontaktu.



Fort VII w Poznaniu, miejsce straceń Polaków (fot. Radomil, opublikowano na licencji [GNU Licencji Wolnej Dokumentacji w wersji 1.2](#)).

Fala aresztowań mocno nadszarpnęła siły wielkopolskiego podziemia i dodatkowo opóźniła i zdeorganizowała procesy scaleniowe z ZWZ. Ostatecznie, w trudnych warunkach, Sztab Poznańskiego Okręgu ZWZ został powołany formalnie 10 czerwca 1940 roku. Komendantem mianowany został podpułkownik Rudolf Ostrihansky „Ludwik”. Nowe struktury bazowały w głównej mierze na resztkach po rozbitych WOZZ i TPOW, a także na pozostałościach wspominanych już pierwszych struktur SZP w terenie. Sporą rolę odegrali też członkowie Organizacji Orła Białego.

W obliczu poważnego osłabienia prowadzono bardzo usilne działania w celu przyciągnięcia pozostałych w terenie mniejszych organizacji. W skład struktur ZWZ weszły jeszcze takie grupy jak Dla Ciebie Polsko, z której w 1941 roku wyłoniono Wojskową Organizację Powstańczą o czy-

sto wojskowym profilu. Do ZWZ wszedł także Komitet Niesienia Pomocy. Ścisłą współpracę prowadziły też wielkopolskie Szare Szeregi, a w październiku 1940 roku podpisano układ o współpracy z organizacją wojskową przedwojennego Stronnictwa Ludowego. W tym samym czasie zupełnie ustały kontakty z Narodową Organizacją Bojową, której władze nie miały zamiaru w żaden sposób podporządkowywać się ZWZ. Do współpracy jednak dochodziło, zwłaszcza na terenie samego Poznania, ale na przełomie 1940/1941 roku Gestapo przeprowadziło akcję rozbicia NOB, która nie pozostała bez wpływu na dalsze losy całej wielkopolskiej konspiracji.

Struktura organizacyjna ZWZ w Wielkopolsce

Obszar nr 5 Poznań przemianowany został na poznańsko-zachodni, a w 1941 roku na zachodni, ze względu na to, że od początku organizacyjnie połączony był z Pomorzem. Obszary dzieliły się na Okręgi z Komendami w miastach liczących 100 tysięcy mieszkańców (w przypadku nr 5 był to oczywiście Poznań) oraz na Obwody – ich Komendy mieściły się w większości w miastach powiatowych, liczących powyżej 10 tysięcy mieszkańców. W zależności od wielkości, kilka obwodów łączyło się w Inspektoraty Rejonowe, których głównym zadaniem była koordynacja działań na danym obszarze. Najniższymi szczeblami konspiracji były rejonry oraz placówki – te ostatnie administracyjnie odpowiadały gminom. Organizacyjnymi komórkami były sekcje, liczące 5 osób, których kilka formowało pluton. Tworzenie większych zgrupowań przewidywano tylko do celów przeprowadzania szerszych akcji zbrojnych.

Podpułkownik Ostrihansky powołał w czerwcu 1940 roku pierwszy Sztab Poznańskiego Okręgu ZWZ, formując jego obsadę personalną. Członkami zostali: porucznik Kirył Sosnowski „Konrad” na stanowisku szefa Sztabu, porucznik Stefan

Schmidt „Zabrzeski” jako szef Wydziału Organizacyjnego, podporucznik Franciszek Firlík „Krzywonos” jako szef Wydziału Informacyjno-Wywiadowczego i Wydziału Łączności. W strukturze znajdowały się jeszcze Wydziały: Szkoleniowo-Operacyjny oraz Kwatermistrzowski-Kurierski. Okręg Poznań obejmował swoim zasięgiem takie miasta jak Żnin i Mogilno, jednak na rzecz Okręgu Łódzkiego wyłączono Obwody: Konin, Koło, Turek oraz Kalisz. Liczebność całego poznańskiego okręgu badacze szacują na nieco ponad 100 zaprzysiężonych członków do końca 1940 roku – dokumenty na ten okres wymieniają około 35 plutonów. Liczba ta wcale nie jest mała biorąc pod uwagę dotychczasowe tragiczne losy wielkopolskiej konspiracji.

Zasięg struktur ZWZ systematycznie zwiększał się. Do listopada 1940 roku powołano 9 Komend Obwodowych i 1 Inspektorat – dla miasta Poznania. Jesienią 1941 roku było już 7 inspektoratów (Poznań Miasto, Poznań Teren, Poznań Zachód, Gniezno, Wągrowiec, Ostrów Wielkopolski, Leszno), obejmujących 23 obwody.

Z racji dużej liczby organizacji współtworzących ZWZ w Wielkopolsce, profil działalności był bardzo szeroki. Dużą rolę odgrywały działania związane z opieką i solidarnością społeczną. Środowisko skupione przy Szarych Szeregach, ściśle współpracując z władzami ZWZ, organizowały prężne akcje tajnego nauczania. Wszystkie inicjatywy o takim wymiarze pomagały w podtrzymaniu ducha narodowego na terenach objętych od dość długiego czasu terrorem. Warto jednak zaznaczyć, że od samego początku myślą przewodnią działalności konspiracyjnej było przygotowywanie gruntu pod powstanie powszechne, które przeprowadzone miało zostać w sprzyjających warunkach. Wysilek organizacyjny był skupiony przede wszystkim na tym celu. Prowadzono szeroko zakrojone akcje wywiadowcze, gromadzono broń,



Pomnik akcji „Bollwerk” w Poznaniu, w tle Ostrów Tumski (aut. MOs810, opublikowano na licencji [Creative Commons Attribution-Share Alike 4.0 International](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/)).

Największą akcją sabotażową było spalanie ogromnych niemieckich magazynów wojskowych w Poznaniu, w czasie akcji „Bollwerk” („Grobla”) w dniu 21 lutego 1942 roku. Zniszczeniu uległ wojskowy sprzęt przeznaczony dla frontu wschodniego o wartości ponad miliona marek – koce, żywność, umundurowanie czy opony zimowe. Nie ma wątpliwości co do tego, że wielkopolska dywersja działała bardzo pręźnie i skutecznie. Także wywiad święcił wiele sukcesów, dostarczając cennych informacji na temat niemieckich lotnisk na swoim terenie, a nawet odnośnie niemieckich rakietowych obiektów wojskowych na wyspie Wolin.

Rozbicie



Główny Delegat Rządu dla Ziem Zachodnich Adolf Bniński (domena publiczna).

W okresie od lipca do września 1941 roku Gestapo przeprowadziło kolejną falę aresztowań, tym razem wymierzoną w dobrze rozpracowany ZWZ w Wielkopolsce. Aresztowany został Główny Delegat Rządu dla Ziem Zachodnich, Adolf Bniński, oraz wielu wymienianych wyżej członków Sztabu Komendy Okręgu. Jedyne Komendant Ostirhansky zdołał uciec i dotrzeć do Warszawy. Po rozbiciu Sztabu nastąpiła fala aresztowań w Komendach Obwodowych. W Poznaniu ocalała tylko jedna Komenda, mocno ucierpiał też Inspektorat Gniezno i wiele obwodów. Łącznie do końca 1941 roku w rękach Niemców znalazło się około 500 członków ZWZ, w tym aż 20 dowódców obwodów. Wiosną 1942 roku całkowicie rozbity został Związek Odwetu, który do tej pory działał jeszcze dość sprawnie. Niestety Gestapo wpadło na trop organizacji głównie przez jej sanitarno-chemiczny pion dra Witaszka. Aresztowano ponad połowę czynnych żołnierzy ZO.

Ostatnie ogniwa pierwszej Komendy Okręgu ZWZ Poznań zostały zlikwidowane jesienią 1942. Wielu z aresztowanych konspiratorów i żołnierzy poniosło śmierć na gilotynach, w więzieniach lub w trakcie odbywania długoletnich wyroków w obozach koncentracyjnych. Znaczna część działaczy zakończyła swe życie w kazamatach złowrogiego poznańskiego Fortu VII.

Badacze dopatrują się różnych przyczyn ostatecznego rozbitcia struktur w Poznańskim. Wielu informacji w trakcie bestialskich śledztw Niemcy zdobywali od wcześniej aresztowanych działaczy. Nakładanie się wpływów poszczególnych osób na kilka organizacji w obrębie ZWZ także wzmagало ryzyko masowej dekonspiracji. Wreszcie jedną z podstawowych przyczyn była głęboka infiltracja środowiska przez doskonale rozwinięty aparat wywiadowczy

i szpiegowski Gestapo. Duża liczba agentów umożliwiła na przestrzeni międzyjeziennymi miesiącami lat 1941/1942 na szereg planowanych zdrad i dekonspirujących prowokacji.

Od 14 lutego 1942 roku, zgodnie z rozkazami Rządu, struktury konspiracyjne zaczęły funkcjonować w ramach Armii Krajowej, wyrastającej bezpośrednio z dorobku Związku Walki Zbrojnej. Pomimo tak wielkich ciosów zadanych wielkopolskiemu podziemiu, całkowitego rozbicia pierwszej Komendy Okręgu i niemal całej organizacji, dzięki odwadze ocalałych działaczy odtwarzanie struktur w kolebce polskości było możliwe, a działalność konspiracyjną prowadzono przez kolejne lata wojny.

Bibliografia:

- Czubiński Antoni, Szymankiewicz Zenon, *Konspiracja wielkopolska 1939-1945. Zarys dziejów*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Poznań 1988.
- Gomolec Ludwik, *Działania dywersyjno-partyzanckie na terenie Wielkopolski podczas okupacji hitlerowskiej 1939-1945*,

Komitet Wojewódzki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Poznań 1962.

- Łuczak Czesław, *Dzień po dniu w okupowanym Poznaniu*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1989.
- Łuczak Czesław, *Kraj Warty 1939-1945. Studium historyczno-gospodarcze okupacji hitlerowskiej*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1972.
- *Polskie Państwo Podziemne w Wielkopolsce 1939-1945*, t. 1-4, Wydawnictwo IPN, Poznań 2007.
- Serwański Edward, *Wielkopolska w cieniu swastyki*, Pax, Poznań 1970.
- Woźniak Marian, *Wielkopolska konspiracja wojskowa w latach 1939-1945*, „Życie i Myśl”, 1986 nr 9/10, s. 60-83.
- *Z dziejów polskiej konspiracji wojskowej na tzw. ziemiach wcielonych do Rzeszy* red. Bogusław Polak, Wyższa Szkoła Inżynierska w Koszalinie, Koszalin 1988.

Maciej Elantkowski

materiał został opublikowany na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 3.0 Polska. miejsce pierwotnej publikacji – Portal historyczny Histmag.org



Polskie komisje poborowe w Kazachstanie, Uzbekistanie i Kirgizji



Jednym z efektów rozmów ze Stalinem, przeprowadzonych przez gen. Sikorskiego w grudniu 1941, oraz narad wojskowych między przedstawicielami Armii Czerwonej i Armii Polskiej była zgoda strony radzieckiej na powiększenie stanu wojska polskiego z 2 do 6 dywizji, tj. z 44 do 96 tys. żołnierzy. Ustalono także, że dywizje polskie zostaną rozmieszczone w Uzbekistanie, Kirgizji i południowych okręgach Kazachstanu.

W związku z poborem powróciła sprawa obywatelstwa mieszkańców wschodnich ziem II RP. Strona radziecka wymagała, aby do armii tym razem przyjmować jedynie Polaków, uznając za obywateli sowieckich Białorusinów, Ukraińców i Żydów, którzy do dnia 29 listopada 1939 znajdowali się w strefie sowieckiej. Sytuacja ta wywołała wiele konfliktów między mniejszo-

ściami a przedstawicielami władz polskich. Ponadto obecni w komisjach enkawudziści pilnowali przestrzegania narzuconych ograniczeń.

W wyniku poboru lutowo-marcowego stan armii wzrósł do 66 750 żołnierzy, w tym 3628 oficerów.

JB

Fotografia: armia polska w ZSRS na ćwiczeniach zimą 1942 r., widoczny gen. Władysław Anders, [Narodowe Archiwum Cyfrowe](#), CC-BY-NC.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.



Sejm Niemy



Z rozmawia Marta Tycner

dr

Urszulą

Kosińską

Panuje opinia, że Sejm Niemy, którego posiedzenie odbyło się 1 lutego 1717 roku, wyznacza koniec bardzo chaotycznego okresu historii Polski. Co działo się w Rzeczypospolitej na początku XVIII

stulecia?

Pozwoli Pani, że XVIII stulecie rozpocznę od roku 1696, kiedy umarł Jan III Sobieski i zaczęło się - jak je określił Władysław Konopczyński - "najdłuższe i najniemoralniejsze polskie bezkrólewie". Zaowocowało ono odtrąceniem rodzimego kandydata Jakuba Sobieskiego i rozdwojeniem elekcji. Wybrano dwóch elektów obcych: Francuza, księcia François Louisa de Conti, i elektora saskiego Fryderyka Augusta Wettyna. Wyścig do tronu wygrał szybszy i bardziej zdecydowany Wettyn, ale proces legitymizowania jego władzy trwał aż do sejmu pacyfikacyjnego 1699 roku. W tym wczesnym okresie z całą siłą ujawniły się problemy, które

położyły się cieniem na całym panowaniu Augusta II. Rzeczpospolita wstrząsana była serią konfederacji, czyli związków będących formą samoorganizowania się szlachty w okresie stanu wyjątkowego: konfederacją wojskową Piotra Bogusława Baranowskiego w roku 1696, łowicką kardynała Michała Radziejowskiego z lat 1697-1698, wojną domową na Litwie, która rozpoczęła się jeszcze za rządów Jana III Sobieskiego, ale jej największe nasilenie przypada na rok 1700. W okresie wojny północnej mieliśmy prostanisławowską konfederację warszawską i proaugustowską sandomierską - od 1704 roku - a w końcu w latach 1715-1717 konfederację tarnogrodzką.

Na to nakładała się długotrwała wojna północna. Gdziekolwiek pokutuje jeszcze przekonanie, że Rzeczpospolita pozostawała w tym konflikcie stroną neutralną. Nie jest to prawdą - sejm 1703 roku uchwalając podatki na wojnę uznał formalnie, że Rzeczpospolita do wojny przystąpiła. Co więcej, działania zbrojne przez wiele lat - 1702-1709 - toczyły się na ziemiach polskich. Później długo jeszcze stacjonowały tu wojska saskie i rosyjskie, a stan wojny został formalnie zakończony dopiero w roku 1732. W pierwszym dziesięcioleciu XVIII wieku ogólne zamieszanie powiększała dwuwładza, a niekiedy nawet - można by powiedzieć - "pięciowładza", czyli rządy konfederatów od "Lasa", od "Sasa", samych Sasów, Szwedów, Rosjan. Pogłębiało to rozbięcie wewnętrzne społeczeństwa polskiego i wielki kryzys zaufania do władzy, spotęgowany jeszcze abdykacją Augusta II w Altranstädt 24 września 1706 roku.

Warto też wspomnieć, że także po zakończeniu działań wojennych i konfederackich w 1717 roku sytuacja w Rzeczypospolitej nie była stabilna. Rosły wpływy dyplomacji państw ościennych, zwłaszcza Rosji. Zrywano kolejne sejmy. Trwała rywalizacja wielkich rodów magnackich przejawiająca się zarówno w konflikcie o kompetencje urzędu hetmańskiego - tzw. sprawa hetmańska z lat 1717-1724 - i o jego obsadę, w latach 1729-1733, jak też w walce o niezwykle dochodowe dobra: sprawa radziwiłłowskich dóbr neuburskich, kopalni soli "Kunegunda" czy ordynacji ostrojskiej.

Ponieważ panowanie Augusta II to okres stosunkowo słabo zbadany, wszystkie te zjawiska bardzo trudno powiązać w jedną spójną całość. Jednak im głębiej wchodzimy w szczegóły, tym lepiej dostrzegamy wewnętrzne zależności, a to, co wydaje nam się chaotyczne, zaczyna stawać się coraz bardziej racjonalne. I nawet jeśli nie pochwalamy motywów działań ówczesnych ludzi, to jednak przy bliższym poznaniu okazują się one w jakiś sposób wytłumaczalne.

W starszych podręcznikach można przeczytać czasem, że od 1717 roku rozpoczął się stopniowy proces utraty suwerenności przez Rzeczpospolitą. Czy takie opinie są uzasadnione?

Przede wszystkim polemizowałabym z cezurą 1717 roku. Wydaje mi się, że można ją postawić wcześniej - w roku 1709, a być może nawet w 1706, czyli roku abdykacji Augusta II w Altranstädt, kiedy król wyjechał z kraju i na miejscu pozostały wojska rosyjskie i szwedzkie oraz skłóceni Polacy. Był to czas, kiedy stojąca dotąd wiernie przy Augustu II konfederacja sandomierska, obecnie osamotniona, zaczęła samodzielnie porozumiewać się z Rosjanami. Rok 1709 też jest tutaj bardzo ważny. Piotr I, pokonując Szwedów pod Połtawą, uzyskał decydującą rolę w wojnie północnej i zaczął dyktować warunki dotychczasowemu sojusznikowi. To jego decyzji zawdzięczał August II możliwość powrotu na tron polski. Oczywiście narzucanie Rzeczypospolitej rosyjskich wpływów trwało bardzo długo, było przez rosyjską dyplomację prowokowane, choćby w początkach konfederacji tarnogrodzkiej, i napotykało kilka razy na reakcję Augusta II, próbującego wyemancypować się spod niechcianej kuratelii, na przykład w latach 1718-1720. O stopniowej utracie suwerenności nie zadecydowało jedno wydarzenie. Jednak rzeczywiście rok 1717 jest o tyle symptomatyczny, że

układ, jaki został zawarty wówczas pomiędzy władcą a skonfederowanymi poddanymi - traktat warszawski z 3 listopada 1716 roku, ratyfikowany następnie przez Sejm Niemy - był sygnowany także przez rosyjskiego ambasadora Grigorija Fiodorowicza Dołgorukiego. Nie była to jeszcze oficjalna gwarancja, a zaledwie efekt mediacji. Jednak od tego momentu Rosja, wykorzystując przewagę militarną, zaczęła uzurpować sobie rolę gwaranta niezmienności polskiego ustroju i mediatora *inter maiestatem ac libertatem* - między królem a jego poddanymi.

Wydaje mi się również, że rok 1717 zamyka pewien okres opracowywania przez Rosję metod wpływania na Polaków. W zasadzie to, co wymyślono wcześniej, po roku 1717 było przez Rosjan powtarzane i udoskonalane. Od 1720 roku datuje się natomiast nieprzerwana i zapisana w międzynarodowej umowie współpraca Rosji z Prusami w dziedzinie tej tak zwanej - użyję tu terminu wprowadzonego do nauki przez Klause Zernacka - *negative Polenpolitik*. Miała się ona przejawiać w uniemożliwianiu jakichkolwiek pozytywnych zmian ustroju czy choćby wzmocnienia państwa polskiego w ramach funkcjonującego prawa, w dążeniu do utrzymania izolacji Rzeczypospolitej na arenie międzynarodowej i we wprowadzaniu ciągłego fermentu pomiędzy królem a społeczeństwem pod pretekstem obrony praw i wolności szlacheckich.

Sejm z 1717 roku nazwano "niemym", ponieważ w obawie przed jego zerwaniem nie dopuszczono do głosu żadnego z posłów. Czy to, że trzeba było uciec się do takiej procedury, uznać można za objaw kryzysu polskiego sejmu?

Z kryzysem sejmu mieliśmy do czynienia już od dziesięcioleci. W kategorii zdarzeń symbolicznych wygrałby pewnie raczej rok 1652 i pierwsze zerwanie sejmu głosem pojedynczego posła. Postulaty reformy sejmowania zgłaszano przez cały wiek XVII i XVIII, jednak aż do czasów Stanisława Konarskiego nie odważono się kwestionować otwarcie "źrenicy polskiej wolności", czyli *liberum veto*. W czasach Augusta II kryzys sejmu był tak głęboki, że jedyne zjazdy, które uchwałyły coś konkretnego, były to sejmy w jakiś sposób nadzwyczajne. Sejm 1699 roku był sejmem pacyfikacyjnym. W roku 1703 na wstępie wyrugowano opozycyjnie nastawioną reprezentację wielkopolską. Potem w 1710 roku odbyła się skonfederowana Walna Rada Warszawska, która formalnie sejmem nie była. Rok 1717 to jednodniowy Sejm Niemy, na którym nie pozwolono na żadną dyskusję. Sejmy z lat 1712, 1718 i 1724 zostały zalimitowane, czyli przerwane z zapowiedzią ponownego zebrania się w tym samym składzie. Sejm 1726 roku, który uchwalił bardzo istotną dla szlachty reformę sądownictwa, był z kolei sejmem z limity, czyli wznowionym. Po roku 1726 żaden z sejmów augustowych nie zaowocował już uchwaleniem konstytucji. Za granicą słusznie odczytywano to nie tylko jako kryzys sejmu, ale kryzys całego państwa i objaw słabości władzy królewskiej.

Należy jednak dodać, że w 1717 roku, stosując środki nadzwyczajne, czyli ograniczając wolność wypowiedzi dla przeprowadzenia spraw niecierpiących zwłoki, zastrzeżono sobie od razu, że jest to wypadek jednostkowy, a tego typu precedensów nie będzie się powtarzać. Już w roku 1718 zwołano sejm zwyczajny, którego zadaniem było potwierdzenie w przewidziany prawem sposób Traktatu Warszawskiego i ustawodawstwa Sejmu Niemego, co też zrobiono.

Wprowadzone przez Sejm Niemy reformy dotyczyły między innymi ustroju, skarbu i wojskowości. Czy była to realizacja od dawna postulowanych gruntownych zmian, czy raczej regulowano w ten sposób bieżące problemy?

Jeśli przyjrzymy się dyskusji politycznej w Rzeczypospolitej czy to w wieku XVI, czy w

XVII, czy w początkach wieku XVIII, odnajdziemy mnóstwo projektów, które zostały zrealizowane właśnie w roku 1717. Widać, że sejm ten urzeczywistniał postulaty już dawno zgłaszane. Ale z drugiej strony regulowano tutaj problemy bieżące. I tak na przykład ustalono stałą liczbę wojska, co postulowano już od dawna, ale ten komput już w momencie uchwalenia był bardzo niski: 18 000 porcji dla armii koronnej i 6000 dla litewskiej. Uznano, że zniszczona wojną Rzeczpospolita nie będzie w stanie ponieść wysiłku finansowego potrzebnego do utrzymania liczniejszej armii. To właśnie był sposób dostosowania się do bieżących problemów. Zdawano sobie jednak w pewnych kręgach sprawę z tego, że państwa ościenne, takie jak Rosja czy Prusy, szybko powiększają swe armie. Jest rzeczą ciekawą, że już w 1718 roku proponowano na sejmie tak zwaną aukcję wojska, czyli podniesienie jego liczby. Niestety, nie zostało to zrealizowane.

Podobnie było z kwestią podatkową. Problem braku pieniędzy na utrzymanie armii, konfederacji niepłatnego żołnierza i samowolnych rekwizycji należności dawał się we znaki co najmniej od drugiej połowy XVII wieku. W czasie wojny północnej i konfederacji tarnogrodzkiej stał się szczególnie dotkliwy. Uchwalony przez Sejm Niemy *Regulamin punktualnej płacy* miał uniezależnić wojsko zarówno od niepewnych efektów obrad sejmowych i samowoli sejmików dowolnie zmieniających podatkowe postanowienia sejmów, jak też od budzącej wiele zastrzeżeń podskarbińskiej administracji podatków. Wojsko miało samo wybierać podatki z wyznaczonych mu obszarów. Doraźnie rozwiązanie takie mogło satysfakcjonować, jednak na dłuższą metę zamieniało wojsko w armię poborców podatkowych i niszczyło jej - i tak już niewielką - sprawność bojową.

"Opisanie buław", czyli ograniczenie samowoli hetmanów, odebranie im swobodnej dyspozycji podatków na wojsko, co było źródłem licznych nadużyć, czy zmniejszenie możliwości prowadzenia samodzielnej polityki zagranicznej - także było wynikiem trwającej od wielu dziesięcioleci dyskusji o zakresie kontroli nad wojskiem. Dla rozstrzygnięcia tej kwestii niezbędny był jednak wielki kryzys zaufania wobec hetmanów i ich kompromitacja wobec społeczeństwa zarówno w latach wojny północnej - spektakularne porażki wojskowe, łupiestwa i rabunki obywateli, nadużycia finansowe - jak i konfederacji tarnogrodzkiej: plany frondy hetmańskiej w 1715 roku, gra na dwa fronty, serwilizm wobec Rosji. Radykalny ruch ograniczenia władzy hetmańskiej był możliwy także dzięki temu, że zyskał poparcie króla, dążącego do odebrania hetmanom samodzielności politycznej i do przejęcia kontroli nad najbardziej wartościową częścią armii - wojskiem tak zwanego cudzoziemskiego autoramentu.

W dziedzinie ustrojowej Sejm Niemy przyniósł konstytucje o zakazie limity sejmików oraz zmieniania przez nie podatkowych decyzji sejmu. W zdecydowany sposób ograniczyło to tak zwane rządy sejmikowe w Rzeczypospolitej. Zgubne skutki miało natomiast nakazanie, by rozdawnictwo urzędów hetmańskich odbywało się tylko na sejmie - dało to w przyszłości pretekst do zerwania aż trzech zjazdów: z lat 1729, 1730 i 1732.

O Sejmie 1717 roku mówi się, że wyznacza on prawdziwy koniec XVII wieku w Polsce. Czy jego znaczenie jest faktycznie tak przełomowe?

Już na wstępie wspomniałam, że dla mnie - historyka dziejów politycznych - wiek XVIII zaczyna się wyjątkowo wcześnie, to znaczy wraz z początkiem unii polsko-saskiej, ponieważ wówczas zrodziły się problemy aktualne przez ponad sześćdziesiąt lat rządów Wettynów w Polsce. Rok 1717 można uznać za przełomowy w polityce o tyle, że mniej więcej wówczas

nastąpiła zmiana stylu rządów Augusta II. Wcześniej próbował on umacniać swą pozycję za pomocą środków radykalnych, przy użyciu wojska saskiego i armii swych sojuszników. Podejrzuje się nawet, że w ogólnym zamieszaniu planował zamach stanu, który pozwoliłby mu na rządy absolutne. Trzeba pamiętać, że demokracja nie jest ustrojem dogodnym w czasie wojny. Po roku 1717 panowanie Augusta II zaczęło powoli przechodzić do etapu tak zwanych łagodnych rządów, charakteryzujących się dążeniem do unikania konfrontacji i działania w ramach obowiązującego prawa. Starzejący się - co pewnie nie jest bez znaczenia - król doszedł do wniosku, że umocnieniu własnej pozycji i utorowaniu synowi drogi do sukcesji tronu polskiego bardziej pomoże przestrzeganie praw Rzeczypospolitej, naprawa finansów tak saskich, jak i polskich, rozbudowa saskiej armii i szukanie przyjaciół w kraju i za granicą.

Z punktu widzenia historyka gospodarki czy też ustroju czy szeroko rozumianej kultury, cezura 1717 roku jest o wiele istotniejsza. Jak już wspomniałam, ten rok to koniec epoki sejmikowej. To także początek długotrwałego pokoju, przerwane go stosunkowo krótkimi okresami zamieszek, na przykład w latach 1733-1736 wojną o sukcesję polską czy później w 1768-1772 roku konfederacją barską. Po wycofaniu się wojsk saskich w roku 1717 i rosyjskich w 1719 gospodarka Rzeczypospolitej, początkowo bardzo powoli, ale jednak zaczęła podnosić się z upadku. Charakterystyczna jest pojawiająca się w wielu źródłach opinia, że Polacy wzięli się do gospodarowania. Intensyfikację handlu potwierdzają statystyki obrotu towarowego. Po raz pierwszy od wielu lat podskarbiemu koronnemu udało się zrównoważyć budżet. Oczywiście na to, co się wówczas działo, możemy patrzeć przez pryzmat opinii, że Polacy zanurzyli się w błogostanie czasów saskich, uwiecznionym w przysłowiu "za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa". Ale z drugiej strony ten okres wytchnienia i wzmocnienia gospodarczego wydaje mi się niezbędnym warunkiem tego, aby nowe pokolenie mogło w przyszłości podjąć hasła istotne dla funkcjonowania całego narodu i Państwa.

To nie jest przypadek, że właśnie pod koniec panowania Augusta II pojawił się człowiek tak wybitny jak Stanisław Konarski. Zaczynał on od przygotowania całościowej edycji konstytucji sejmowych - *Volumina Legum*. W 1732 roku zadebiutował dialogiem politycznym zawierającym łagodny, zdawałoby się, postulat ograniczenia *liberum veto*, zabezpieczenia sejmu przed zerwaniem, dopuszczania do najważniejszych urzędów ludzi spoza starych rodów. Wkrótce, w okresie bezkrólewia po Augustie II, podniósł kolejny ważny problem suwerenności i niepodległości państwa. W latach pięćdziesiątych prace te zaowocowały radykalnym i bezwarunkowym potępieniem *liberum veto*. Należałoby też chyba zweryfikować pogląd, że lata dwudzieste XVIII wieku to okres powszechnej apatii, jak bowiem w takim razie wytłumaczyć nagły zryw patriotyczny w roku 1733, w okresie walki o sukcesję polską po śmierci Augusta II?

Dr Urszula Kosińska - historyk, członek Rady Naukowej Instytutu Historii Uniwersytetu Warszawskiego, zajmuje się historią polski w czasach saskich i stanisławowskich.

Ilustracja: portret Piotra I - głównego architekta decyzji Sejmu Niemego, Wikimedia Commons, domena publiczna.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.

Ślub Jadwigi Andegaweńskiej z Władysławem Jagiełłą



Jadwiga (ok.1374-1399), najmłodsza córka Ludwika Węgierskiego i Elżbiety Bośniaczki, tron polski uzyskała dzięki układowi ojca ze szlachtą. W wieku pięciu lat została zaręczona z Wilhelmem z dynastii Habsburgów i - jak głosi legenda - była to jej największa miłość. Polscy możnowładcy, świadomi wagi przyszłego małżeństwa, oponowali przeciwko związaniu Polski z Habsburgami. Panowie krakowscy mieli

własnego kandydata na męża dla młodej Jadwigi.

Był nim Jagiełło, władca pogańskiej Litwy. Tuż po unii w Krewie, przewidującej małżeństwo litewskiego księcia z polską władczynią, kasztelan Dobiesław Kurozwęcki przepędził narzeczonego królowej z Wawelu. Jak podaje Długosz, Jadwiga próbowała uciekać za Wilhelmem. Jednak już pół roku później została żoną ochrzczone-

go Jagiełły, a ceremonia zaślubin odbyła się w katedrze na Wawelu. Z ich związku narodziło się tylko jedno dziecko - Elżbieta Bonifacja, która nie przeżyła miesiąca. Jadwiga zaś w wyniku komplikacji poporodowych zmarła cztery dni po śmierci córki.

JB

Z prof. **Jerzym Sperką**
rozmawia Michał Starczewski

Czy można powiedzieć, że ślub Jadwigi i Jagiełły z 1386 roku to ślub dwóch państw: polskiego i litewskiego?

Tak, oczywiście. Małżeństwo zapoczątkowało unię Polski i Litwy - państw do tej pory skłóconych, wręcz wrogich. Od tego momentu zaczęła się współpraca. Różnie ona wyglądała, ale początki były obiecujące. Układ w Krewie z 1385 roku, a potem umowa wołkowyska z 1386 roku określiły ogólne ramy, w jakich miało działać to wspólne państwo. Potem wszystko zależało już od wyegzekwowania przez jedną i drugą stronę tego, co podpisano. Okazało się jednak, że obie strony różniły się w interpretacjach.

Wcześniej czteroletnia Jadwiga została zaślubiona ośmioletniemu wówczas Wilhelmowi Habsburgowi. Jakie były przyczyny ślubu z Habsburgiem i dlaczego doszło później do zawarcia małżeństwa z Jagiełłą?

To były zaręczyny, a później małżeństwo typowo dynastyczne. Ludwik Węgierski, ojciec Jadwigi, tak chciał pokierować losami swoich córek, aby mogły objąć trony Polski i Węgier, a jednocześnie zamierzał powiązać je z dynastiami panującymi w tej części Europy, czyli z Luksemburgami i Habsburgami. W przypadku Marii wybór padł na Zygmunta Luksemburskiego, a w przypadku Jadwigi - na Wilhelma Habsburga.

Co się w takim razie stało, że ostatecznie Jadwiga została żoną Jagiełły?

Okazało się, że interesy dynastyczne Ludwika Węgierskiego są sprzeczne z interesami państwa polskiego, reprezentowanego przez elitę polityczną, przede wszystkim przez Małopolan, którzy inaczej widzieli przyszłość naszego kraju. Ślub z Wilhelmem i związki z Habsburgami przyniosłyby Polsce w przyszłości niewielkie korzyści. Trzeba pamiętać o tym, że w tym czasie Habsburgowie to nie jest ta potężna dynastia, jaką znamy z wieku XVI. To najpewniej spowodowało, że zwrócono się w kierunku Litwy, z którą przecież jeszcze niedawno toczono wojnę o Ruś Czerwoną. Małżeństwo królowej Jadwigi z wielkim księciem Jagiełłą mogło ten problem rozwiązać, co było bardzo ważne dla Małopolan.

Czy Jadwiga była tylko przedmiotem targów, czy jej wola miała jakieś znaczenie?

Gdy Jadwiga w 1384 roku obejmowała tron Polski, miała dziesięć lat. Wychodząc za Jagiełłę miała lat dwanaście. Chodziło raczej o to, żeby osoby podejmujące decyzje potrafiły jej wytłumaczyć sens tego małżeństwa, bo była przecież dzieckiem. Trudno więc przypuszczać, aby miała wpływ na decyzje polityczne. Jan Długosz, który opisuje te wydarzenia, podaje ciekawe informacje dotyczące reakcji Jadwigi na wieść o nieuchronności małżeństwa z Jagiełłą. Królowa miała się opierać - czemu trudno się dziwić. Była przecież wychowana w zupełnie innym kręgu kulturowym niż człowiek, z którym miał się związać. Po za tym Jagiełło był od niej o wiele starszy. To wszystko było dla niej z pewnością sytuacją mało komfortową. Trudno jednoznacznie powiedzieć, czy relacja Długosza jest we wszystkich szczegółach prawdziwa, ale nie kwestionowałbym historii o tym, jak Jadwiga chcąc spotkać się z Wilhelmem Habsburgiem, aby dopełnić z nim małżeństwo, chwyciła topór i próbowała rozbić zamknięte drzwi.

Powstrzymał ją dopiero Dymitr z Goraja. Myślę, że gdyby dziś powiedziec dwunastolatce zaręczonej z rówieśnikiem, że musi wyjść za kogo innego, i to prawie trzydziestoletniego, to takie zachowanie, jakie opisuje Długosz, nie byłoby niczym dziwnym.

Jak wyglądała sama ceremonia zaślubin królów polskich w XIV wieku?

Przede wszystkim, najczęściej były to małżeństwa polityczne. Miłości raczej trudno się tam dopatrywać, bo w momencie zawierania związku przyszli małżonkowie najczęściej się nie znali i często wiedzieli o sobie niewiele albo zgoła nic. W przypadku Jadwigi i Jagiełły za królową faktycznie decydowali Małopolanie, a ściśle jej najbliższe otoczenie, natomiast Jagiełło podejmował decyzję sam, choć przecież nic nie wiemy, by wcześniej przysłano mu jakiś portret wybranki, jak to się odbywało w późniejszych czasach. Osobę, którą potencjalny kandydat miał poślubić, swatowie ruszający do sfinalizowania układu przedstawiali najczęściej w najwspanialszych kolorach, a potem często dochodziło do rozczarowań. Także z kroniki Jana Długosza znamy historię drugiego małżeństwa Władysława Jagiełły z Anną Cylejską, kiedy król faktycznie obraził się na tych, którzy z Cylji przywieźli mu żonę. Hińcza z Rogowa i Jan z Obichowa przez następne kilka lat byli właściwie odsunięci z otoczenia króla, nie awansowali i widać było, że monarcha, mówiąc delikatnie, się na nich pogniewał. Oczywiście, problem gustu czy urody jest sprawą względną. Nie to jest piękne, co piękne, ale to, co się komu podoba - mówi stare przysłowie. Anna najwyraźniej nie za bardzo spodobała się Jagielle.

Czy obyczaje litewskie, pogańskie odegrały jakąś rolę?

Raczej w straszaniu Jadwigi. Wiemy z kroniki Jana Długosza, że część otoczenia królowej, nieprzychylnego temu związko-

wi, opowiadała o Jagielle niestworzone rzeczy. To zresztą miało doprowadzić do tego, że Jadwiga wysłała Zawiszę z Oleśnicy do Lublina, aby udał się razem z jej przyszłym mężem do łaźni i zobaczył, jak on faktycznie wygląda - czy rzeczywiście tak strasznie, jak go jej przedstawiono. Różnica kultur na pewno była widoczna, ceremoniał dworski z pewnością troszeczkę się różnił, ale nie należy z tym przesadzać. Litwa to nie antypody, tylko kraj, który już od dłuższego czasu był w sferze oddziaływania Europy łacińskiej. Jadwiga nie wychodziła za kogoś kompletnie nieokrzesanego czy niepotrafiącego się odpowiednio zachować.

Trzy dni przed ślubem Jagiełło przyjął chrzest w Krakowie. W tym samym czasie jego brat, Witold, był chrzczony już po raz trzeci. Jak to było z chrześcijaństwem na Litwie?

Wpływy chrześcijaństwa w państwie litewskim w końcu XIV wieku były bardzo duże. Trzeba pamiętać, że ówczesne Wielkie Księstwo Litewskie składało się z niewielkiej Litwy właściwej, tak zwanej Aukstoty, i Żmudzi oraz rozległych terytoriów ruskich, podbitych w XIV wieku. Te ostatnie były jednak prawosławne i dominowały kulturowo nad pogańską Litwą. Rządzący w poszczególnych księstwach ruskich potomkowie Giedymina przechodzili na prawosławie, a w ich kancelariach posługiwano się językiem ruskim. Litwa właściwa była pogańska głównie ze względów politycznych, tam było bowiem centrum decyzyjne i ono musiało być inne niż obszary niedawno podporządkowane. Jednak w końcu XIV wieku pogaństwo było już przeżytkiem. Jagiełło zdawał sobie sprawę z tego, że chrystianizacja jest konieczna, pozostawał jedynie problem, za czym pośrednictwem można tego dokonać. Z przyczyn oczywistych odpadał w tym czasie zakon krzyżacki. W 1382 roku były prowadzone pertraktacje z Dymitrem Dońskim w sprawie przyjęcia chrześcijaństwa w obrządku prawosławnym, ale warunki

postawione przez księcia moskiewskiego były tak wygórowane, że rozmowy zakończyły się fiaskiem. W tej sytuacji dla Jagiełły jedynym wyjściem było pójście w kierunku Polski, i tak też się stało.

Czy Witold rzeczywiście był trzykrotnie chrzczony?

Tak, rzeczywiście. Ochrzczony został najpierw przez Krzyżaków w obrzędzie łacińskim w 1382 roku, potem w obrzędzie prawosławnym i jeszcze raz w łacińskim w Krakowie w 1386. Takie sytuacje się zdarzały, z różnych powodów, między innymi politycznych, jak w tym przypadku.

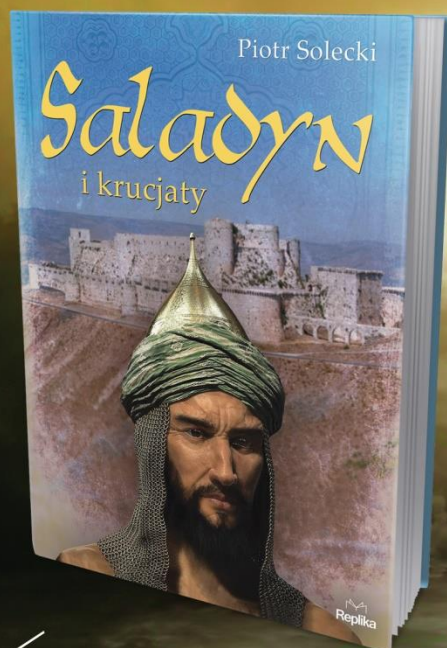
Prof. dr hab. **Jerzy Sperka** - mediewista, pracownik Instytutu Historii Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskie-

go, autor m.in.: *Otoczenie Władysława Opolczyka w latach 1370-1401. Studium o elicie władzy w relacjach z monarchą* (2006).

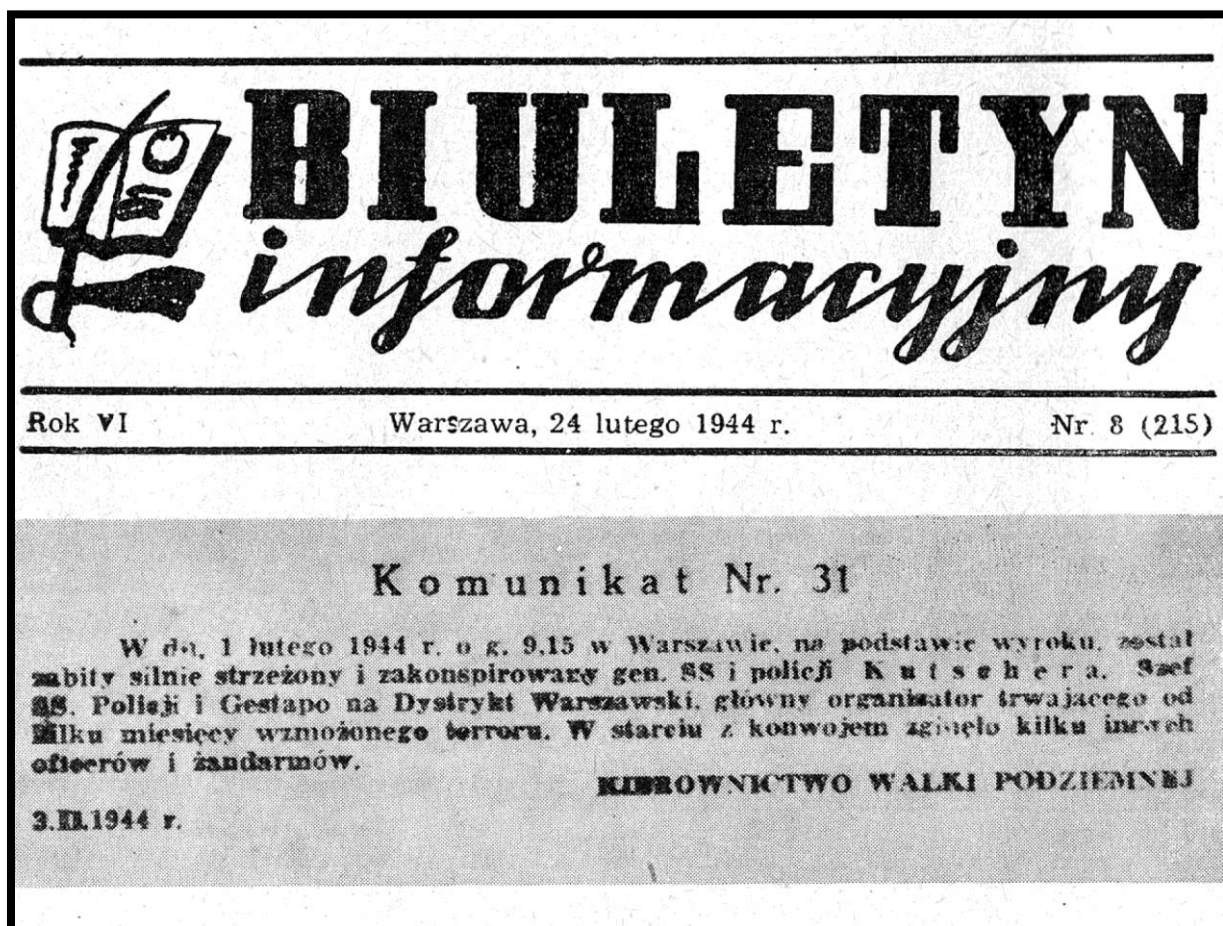
Ilustracja: obraz przedstawiający Władysława i Jadwigę pod krzyżem, prawdopodobnie autorstwa Tomasza Dolabelli z I połowy XVII w., Wikimedia Commons, domena publiczna.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.

LUDZIE, KTÓRZY ZMIENILI OBRAZ ŚWIATA



Zamach AK na gen. Franza Kutschere



Generał Franz Kutschera, zwany katem Warszawy, funkcję szefa SS, policji i gestapo w dystrykcie warszawskim objął we wrześniu 1943 roku. Znany z brutalnych metod postępowania z ludnością cywilną, rozwinął terror na ogromną skalę. To właśnie jego dziełem było przeprowadzanie w Warszawie publicznych egzekucji, które paraliżowały psychicznie mieszkańców Warszawy.

W listopadzie 1943 roku sąd podziemny skazał generała na śmierć. Na wykonawcę wyroku wyznaczono kapitana Adama Borysa (ps. "Bryl"). Był on dowódcą oddziału "Agat" (anty-gestapo), który od stycznia 1944 nosił nazwę "Pegaz", a od czerwca 1944 - "Parasol".

Zamach na tak ważnego funkcjonariusza nie był łatwy. Kutschera był pilnie strzeżony, a jego tożsamość zakonspirowana. Znano jedynie jego stopień wojskowy i funkcję. Na jego trop, zupełnie przypadkowo, wpadł Aleksander Kunicki (ps. "Rayski"), kiedy obserwując pałacyk w Alejach Ujazdowskich, gdzie mieściła się siedziba dowództwa SS i policji, zauważył wy-

siadającego z limuzyny generała. Zidentyfikowanie Kutschery było już kwestią czasu. Wyrok wykonano podczas brawurowej akcji, 1 lutego, parę minut po dziewiątej, gdy generał udawał się ze swojego mieszkania przy alei Róż do siedziby dowództwa SS. W akcji zginęło czterech polskich żołnierzy.

W odpowiedzi na zamach następnego dnia okupanci rozstrzelali sto osób. Szybko jednak zaniechali tej formy terroru, obawiając się kolejnych zamachów.

JB

Ilustracja: komunikat o likwidacji Kutschery w *Biuletynie Informacyjnym* z 24 lutego 1944 r., Wikimedia Commons, domena publiczna.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.



Zamach na cara Aleksandra II



Słynny zamach z 13 III 1881 r., w którym stracił życie car Aleksander II, był przygotowany oraz przeprowadzony przez Polaka Ignacego Hryniewieckiego. Pochodził on ze zubożałej szlachty z terenów obecnej Białorusi. W trakcie studiów na politechnice w Petersburgu, będąc już praktycznie zrusyfikowany, przystąpił do rosyjskiej organizacji rewolucyjnej "Narodnaja Wola". Hryniewiecki stał się jednym z jej przywódców i m.in. powołał do życia organizacyjną gazetę. W lutym 1881 r. zawiązał spisek w celu zamordowania cara, będącego już niejedynym celem zamachów.

W wyznaczonym dniu Hryniewiecki wraz z towarzyszami oczekiwał władcy na Newskim Prospekcie nieopodal Pałacu Zimowego. Pierwsza bomba zraniła jadącego obok cesarskiego powozu kozaka oraz przypadkowego chłopca. Car wyszedł z powozu i podszedł do rannych,

wyrażając swoje współczucie. Po wydaniu rozkazu zaopiekowania się rannymi Aleksander ruszył dalej. Nagle podbiegł Hryniewiecki i wywołał eksplozję, znajdując się twarzą w twarz z władcą. Zacytujmy fragment dokumentu z policyjnego śledztwa: "Kiedy dym opadł, oczom wszystkich [...] ukazał się straszliwy widok - oto pomiędzy rozrzuconymi na ziemi rannymi ludźmi znajdował się także car [...] poszarpane, odkryte nogi Cesarza [...] mocno krwawiły, ciało było poranione, a twarz spływała krwią. Cesarza od razu odwieziono do Pałacu Zimowego, gdzie otoczony rodziną niedługo później oddał życie. Tymczasem Hryniewiecki, również ciężko ranny, został ujęty i zaprowadzony do szpitala obok Pałacu Zimowego. Kiedy odzyskał przytomność, starano się uzyskać od niego informacje, lecz nic nie powiedział - po półtorej godziny zmarł".

W wyniku procesu innych uczestników zamachu pięciu spiskowców zostało skazanych na śmierć przez powieszenie. W miejscu tragicznego wydarzenia syn Aleksandra II, Aleksander III, wznosił wspaniałą kościół Spas-na-Krowi (Chrystusa na Krwi). Po dziś dzień Hryniewiecki pozostaje jednym Polakiem, który dokonał skutecznego zamachu na życie koronowanego władcy.

M. G.-K.

Ilustracja: zamach na Aleksandra II na rycinie z tygodnika *L'Univers illustré*, Bundeszentrale für politische Bildung, CC-BY-NC.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.



Hilux spotyka Gladiatora



Nowozelandzka Toyota ubrała Hiluxa w nową zbroję, czyniąc z legendarnego pickupa jeszcze większego twardziela, godnego generała Maximusa. Hilux Gladiator Concept z bogatym wyposażeniem terenowym spotkał się z ogromnym zainteresowaniem publiczności targów Mystery Creek Fieldays 2017 w Nowej Zelandii. Teraz Toyota przygotowuje limitowaną edycję Hilux Gladiator, inspirowaną wersją koncepcyjną.

„Zbudowaliśmy Hiluxa Gladiator Concept specjalnie na stoisko Toyoty na targach Mystery Creek Fieldays, aby pokazać szerokie możliwości personalizacji tego modelu. Zainteresowanie publiczności nas zdumiało i zachwycało” – powiedział Spencer Morris, dyrektor ds. produktu Toyota New Zealand.

Koncepcyjny Hilux Gladiator powstał we współpracy z firmą Retro Vehicle Enhancements na bazie Hiluxa SR5 z napędem

4WD. Tuning objął lift zawieszenia, dodano także 20-calowe koła z terenowymi oponami. Agresywnie wyglądające zawieszenie tworzy terenową całość z orurowaniem i wyciągarką, osłoną miski olejowej, snorkelem i poszerzonymi błotnikami. Do tego dodatkowe światła LED na dachu oraz grafika z logo Gladiator.

We wnętrzu pojawiła się specjalnie opracowana tapicerka z czerwonej skóry, wykończenia w stylu włókna węglowego oraz maty z logo Gladiator.

Jak zapewnia Spencer Morris, Hilux Gladiator, który trafi do salonów, będzie nieco bardziej praktyczny. Niektóre części wymagają jeszcze pozyskania homologacji. Jego zdaniem, nowa wersja pick-upa Toyoty spotka się z dużym zainteresowaniem klientów.

Toyota Hilux 8. generacji zadebiutowała w Europie w 2016 roku. Obecnie jest to najpopularniejszy pickup w Polsce. Nowy

model wyróżnia się odporniejszą konstrukcją na ramie oraz wnętrzem wykończonym w standardzie SUV. Samochód ma większe możliwości terenowe, wzmocnioną skrzynię o ładowności od 1000 kg i silnik D-4D 2.4 z turbosprężarką o zmiennej geometrii łopatek (VTG) oraz intercoolem, spełniający normę Euro 6. Hilux wyposażony w 6-biegową manualną skrzynię biegów przyspiesza od 0 do 100 km/h w 12,8

s, zaś

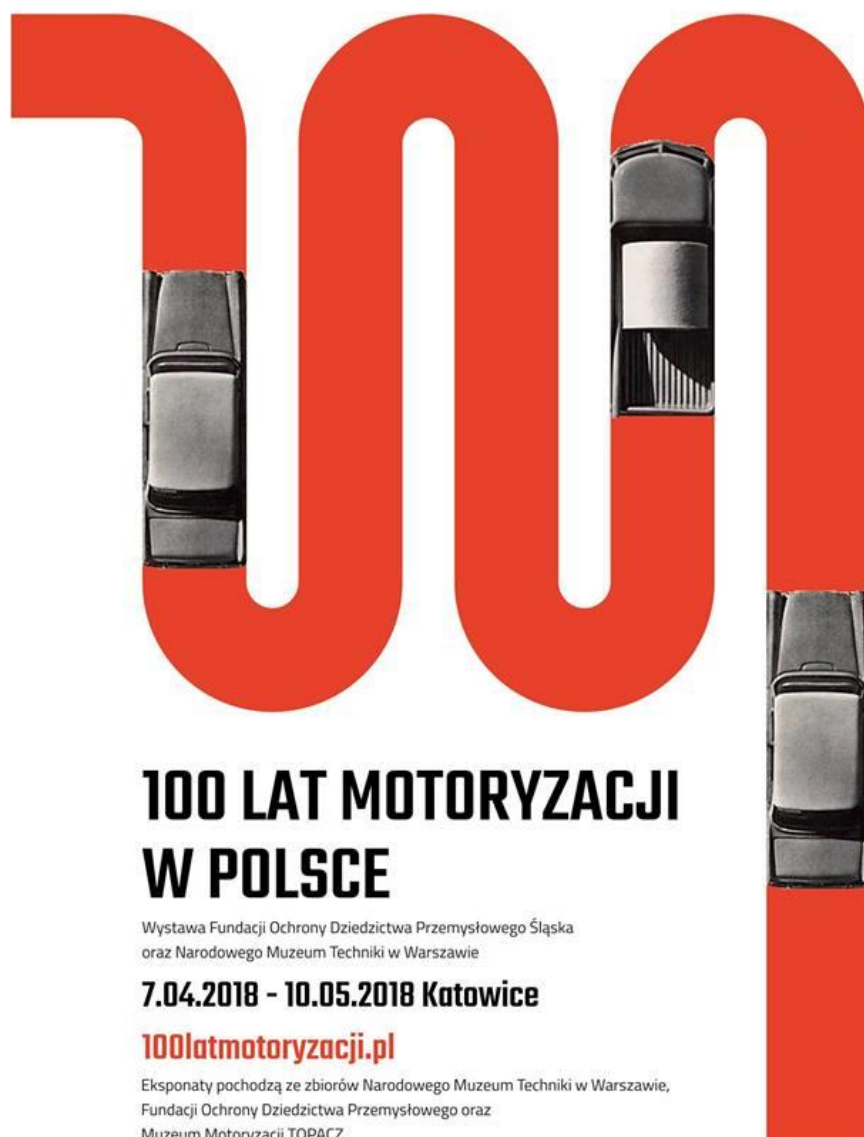
w

wer-

sji z

6-

biegowym automatem potrzebuje 13,2 s do setki.



100 LAT MOTORYZACJI W POLSCE

Wystawa Fundacji Ochrony Dziedzictwa Przemysłowego Śląska
oraz Narodowego Muzeum Techniki w Warszawie

7.04.2018 - 10.05.2018 Katowice

100latmotoryzacji.pl

Ekspozycje pochodzą z zbiorów Narodowego Muzeum Techniki w Warszawie,
Fundacji Ochrony Dziedzictwa Przemysłowego oraz
Muzeum Motoryzacji TOPACZ

Tutaj rozmiar ma znaczenie - najciekawsze pełnowymiarowe SUV-y



Modele należące do segmentu full-size SUVs znajdują swoich fanów nie tylko wśród amerykańskich kierowców. Użytkownicy takich aut chwalą sobie oczywiście ogromną ilość miejsca w kabinie pasażerskiej, z którą może konkurować tylko segment vanów, ale liczy się również przestrzeń ładunkowa i możliwość holowania dużych łodzi. Oto najciekawsze pełnowymiarowe SUV-y.

Lexus LX 570

Największy SUV w ofercie Lexusa pojawił się na rynku w 1996 roku. Wtedy samochód był konstrukcyjnym bliźniakiem modelu Land Cruiser. Obecnie w salonach sprzedaży dostępna jest zaprojektowana od podstaw i niemająca swojego pierwowzoru w rodzinie Toyoty trzecia generacja. Aktualny model zadebiutował 2007 roku, a w latach 2010, 2012 i 2015 przeszedł kolejne faceliftingi. Jego ceny na rynku amerykańskim zaczynają się od 85 tys. dolarów.

Samochód napędzany jest silnikiem V8 o pojemności 5,7 litra i mocy na poziomie 383 KM. Napęd przekazywany jest na cztery koła za pomocą automatycznej, sterowanej elektronicznie skrzyni biegów o ośmiu przełożeniach. Układ napędowy wyposażony jest w mechanizm różnicowy Torsen o ograniczonym poślizgu z blokadą.

Na liście wyposażenia tego luksusowego SUV-a znajduje się między innymi centralnie umieszczony ekran multimedialny o przekątnej 12,3 cala. Aktywowany głosem system pomoże w wyszukaniu interesujących miejsc na trasie, a także aktualności o natężeniu ruchu, pogodzie lub cenach paliw. Miasta można dodatkowo oglądać w widoku 3D. Kierowca ma również możliwość korzystania z kolorowego wyświetlacza Head-Up.

Za system audio odpowiada technologia opracowana przez firmę Mark Levinson. Jest to 19-głośnikowy system w układzie 7.1 o mocy 450 watów, dostrojony przez specjalistów Mark Levinson, aby najlepiej zoptymalizować dźwięk do akustyki pojazdu. Zestaw uzupełnia system rozrywki z dwoma monitorami – można do niego podłączyć zewnętrzne urządzenia, takie jak np. konsola do gier, lub skorzystać z wbudowanego odtwarzacza DVD/CD.

Cadillac Escalade

To jeden z najbardziej charakterystycznych pełnowymiarowych SUV-ów produkowanych na amerykański rynek. Samochód pojawił się w 1998 roku i był odpowiedzią na modele produkowane przez japońskich i niemieckich producentów. Od 2014 roku w salonach sprzedaży oferowana jest czwarta generacja tego modelu.

W cenniku znajduje się jeden silnik. Jednostka V8 ma pojemność 6,2 litra i moc 420 KM. Napęd przekazywany jest w zależności od wersji na dwa lub cztery koła za pomocą 10-stopniowej automatycznej skrzyni biegów. Za bezpieczeństwo odpowiada system Magnetic Ride Control – monitoruje on drogę tysiąc razy na sekundę i automatycznie dostosowuje pracę napędu do stanu nawierzchni i warunków pogodowych.

Wnętrze samochodu pomieścić może nawet 8 pasażerów. Dwa przednie rzędy siedzeń są podgrzewane, a przednie fotele dodatkowo chłodzone. Na liście znalazł się również 16-głośnikowy system Bose, którego jakość dźwięku poprawia specjalne akustyczne szkło w przedniej części auta oraz potrójnie uszczelnione drzwi i aktywna redukcja hałasu – według producenta jest to najcichsze wnętrze Escalade w historii.

Na liście najciekawszych systemów znaleźć można dodatkowo automatyczny układ parkowania, obraz z kamery cofania wyświetlany na tylnym lusterku, które podczas cofania pełni rolę ekranu, oraz system multimedialny z dotykowym ekranem.

Lista systemów zwiększających bezpieczeństwo jest również długa. Znaleźć tam można między innymi asystenta utrzymania pasa ruchu, asystenta ostrzegającego przez kolizją, a także Surround Vision umożliwiający obserwowanie otoczenia z perspektywy lotu ptaka.

Ceny tego Cadillaca w USA zaczynają się od około 74 tys. dolarów.

Toyota Sequoia

Na liście nie mogło zabraknąć jednej z największych na rynku osobowych Toyot. Amerykańskie media motoryzacyjne podkreślają, że Sequoia wyróżnia się niską ceną startową w po-

równaniu do innych pełnowymiarowych SUV-ów. Ceny tego modelu zaczynają się bowiem od około 48 tys. dolarów. Model ten pojawił się na rynku w 2010 roku i trafił do salonów w Ameryce Północnej i na Bliskim Wschodzie. Obecnie oferowana jest druga generacja.

Pod maską SUV-a znajduje się silnik V8 o pojemności 5,7 litra, który generuje 381 KM. Napęd przekazywany jest na dwa lub cztery koła za pomocą 6-biegowej, sterowanej elektronicznie, automatycznej skrzyni biegów, która umożliwia również sekwencyjny wybór przełożeń. Napęd został dodatkowo wyposażony w tryb TOW/HAUL, ułatwiający holowanie ciężkich ładunków w trudnym terenie, a także adaptacyjne zawieszenie z możliwością ręcznego dostosowania wysokości tylnej osi w zależności od obciążenia. Warto dodać, że układ napędowy tego modelu otrzymał certyfikat „Ultra Low Emission Vehicle II”, dający w niektórych krajach uprawnienia m.in. do przywilejów podatkowych ze względu na bardzo niską emisję spalin.

Samochód można wyposażyć w ogrzewane i wentylowane fotele, a we wnętrzu znajdzie się miejsce dla 8 pasażerów. Auto zostało wyposażone w klimatyzację, którą można sterować za pomocą rozbudowanego panelu również z tylnej kanapy. Projektanci nie zapomnieli o potrzebach użytkowników telefonów komórkowych i tabletów – samochód został wyposażony w szereg gniazdek elektrycznych 12V, a system multimedialny oferuje również gniazdko z prądem zmiennym.

Na liście znaleźć można ponadto systemy Toyota Safety Sense – między innymi układ zapobiegający zderzeniu z innym samochodem lub pieszym zawierający automatyczne hamowanie awaryjne, system ostrzegający o nieumyślnej zmianie pasa ruchu, aktywny tempomat oraz automatyczne światła drogowe, które same przełączają się na światła mijania, by nie oślepić innych kierowców.

System multimedialny oferuje zintegrowaną nawigację oraz dostęp do szeregu użytecznych aplikacji ułatwiających dostęp do mediów społecznościowych lub informacyjnych, a nawet umożliwiających obserwację danych pogodowych dostarczanych w czasie rzeczywistym. Podróż na tylnych rzędach siedzeń umili ponadto odtwarzacz Blu-ray z 9-calowym ekranem.

Chevrolet Tahoe

Model Tahoe występuje na rynku od 1995 roku. Obecnie produkowana jest czwarta generacja, która zadebiutowała w 2015 roku. Ceny samochodu na rynku amerykańskim zaczynają się od około 63 tys. dolarów.

W ofercie można znaleźć dwa silniki V8. Jednostka o pojemności 5,3 litra oferuje moc na poziomie 355 KM, natomiast motor o pojemności 6,2 litra ma moc 420 KM. Napęd przekazywany jest za pomocą automatycznej skrzyni biegów o 6 przełożeniach z możliwością ręcznej zmiany biegów i trybem holowania ciężkich ładunków. Samochód został ponadto uzbrojony w blokadę tylnego dyferencjału.

Tahoe wyposażony jest w kamerę cofania, której obraz prezentowany jest na centralnym ekranie, a także czujniki ułatwiające parkowanie i monitorujące otoczenie podczas włączania się do ruchu. Na liście znalazł się również monitoring stref bocznych i alarm niezamierzonej zmiany pasa ruchu, a także układ automatycznego hamowania działający do prędkości 50 mil na godzinę. Inżynierowie Chevroleta wyposażyli SUV-a w wibrujący fotel kierowcy – układ uruchamia się, gdy któryś z czujników wykryje niebezpieczeństwo kolizji.

W 8-osobowej kabinie znajdziemy m.in. centralny wyświetlacz o przekątnej 8 cali z pełną możliwością konfiguracji wyświetlanych informacji. Dodatkowo kierowca może skorzystać z wyświetlacza Head-Up. Pasażerowie podróżujący na tylnych siedzeniach mają do dyspozycji system rozrywki wyposażony w odtwarzacz Blue-ray.

Lincoln Navigator

Ze względu na rozmiary amerykańscy kierowcy nazywają go Taj Mahal. Pierwsza generacja Navigatora pojawiła się w 1998 roku i sprzedawana jest głównie na rynkach Ameryki Północnej. Ceny samochodu zaczynają się od około 72 tys. dolarów.

Pod maską znajduje się podwójnie doładowana jednostka benzynowa V6 o pojemności 3,5 litra i mocy 450 KM. Napęd przekazywany jest na dwa lub cztery koła za pomocą 10-stopniowej, automatycznej skrzyni biegów.

Wnętrze samochodu może pomieścić do ośmiu pasażerów, a fotele zostały wyposażone w funkcje ogrzewania. Po środku deski rozdzielczej został umieszczony 10-calowy ekran LCD, a przednie fotele mają 30-stopniową regulację i wyposażone są w funkcję ogrzewania i chłodzenia. Podróżujący na tylnej kanapie mogą sterować klimatyzacją za pomocą centralnie umieszczonego panelu.

Na liście ciekawych udogodnień znalazł się między innymi system Lincoln Play. Pasażerowie jadący na tylnych fotelach mogą dzięki niemu oglądać np. filmy wyświetlane na 10-calowych ekranach zamocowanych za zagłówkami przednich foteli.



teraz
KOMIKS!

COMICS
now!

wystawa
Muzeum Narodowe w Krakowie
Gmach Główny, al. 3 Maja 1

exhibition
The National Museum in Krakow

ilustracje / illustrations: Kajko, rys. / drawn by Janusz Christa;
© CHRISTA/FUNDACJA KRESKA

Ostatni Żuk z FSC w Lublinie



W ciągu niemal czterdziestu lat seryjnej produkcji oddano do użytku 587 tysięcy samochodów tego typu. Podobnie jak Polonez, Maluch czy Syrenka, Żuk nierozłącznie kojarzy się z Peerelem.

Duża konkurencja, potrzeba zaskakiwania klienta i szybko zmieniająca się moda sprawiają, że w dzisiejszych czasach nowe typy samochodów szybko zastępowane są przez jeszcze nowsze i modniejsze. W czasach PRL jeden typ auta - jeśli się sprawdził - mógł być modyfikowany w nieskończoność. Przykładem tego jest samochód dostawczy Żuk.

Jego początki sięgają roku 1956, kiedy to projektanci z lubelskiej Fabryki Samochodów Ciężarowych pod kierownictwem inż. Stanisława Tańskiego przystąpili do pierwszych szkiców. Dalej historia narodzin Żuka w charakterystyczny sposób wiązała się z ważnymi świętami państwowymi PRL. 1 maja 1958 r. odbyła się premiera modelu pokazowego (skrzyniowego). Samochód spodobał się, zatem 22 lipca 1959 r. przystąpiono do seryjnej produkcji.

Żuk zbudowany był na podwoziu Warszawy. Ze względu na swą długość nadawało się ono także do małych samochodów ciężarowych. Powstało wiele wersji. Oprócz wersji skrzyniowych były także z pełnym zabudowanym nadwoziem (furgon), pasażerskie (sześćoosobowy towos i dziesięcioosobowy mikrobus), dla straży pożarnej i pogotowia technicznego. W roku 1995 powstał nawet pomysł wykorzystania połączonych dwóch Żuków jako minipociągu (dreżyny) dla 14 osób. Zbudowano jednak tylko prototyp.

Można śmiało stwierdzić, że Żuk na trwale wpisał się do historii polskiej motoryzacji.

KM

Fotografia: ładowanie skrzynek z kapustą na samochód Żuk w gospodarstwie rolnym na Kępie Zawadowskiej w Warszawie w lipcu 1981 r., [Narodowe Archiwum Cyfrowe](#), CC-BY-NC.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne

prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.



Brewing ideas.

**Szkoła
Technologii
Fermentacji**

sztf.edu.pl

Uniwersytet Rolniczy w Krakowie

Latarki Black Eye



Imponująca moc, wysoka odporność na czynniki zewnętrzne i rozwiązania technologiczne, które zapewniają przewagę. Seria latarek Black Eye od Mactronic powiększyła się od dwa modele oferujące aż 1100 i 1300 lumenów.

Wrocławski producent przygotował wyjątkową premierę dla fanów oświetlenia przenośnego o dużej mocy. Doskonale znana seria Black Eye zostaje wzmocniona o latarki Black Eye 1300 i Black Eye 1100, dedykowane fanom militariów, survivalu i przedstawicielom służb mundurowych. - *To modele wyróżniające się potężną mocą, jak i charakterystyczną dla serii Black Eye najwyższą wytrzymałością. Zastosowane*

rozwiązania technologiczne sprawiają, że są to latarki zapewniające wsparcie nawet w ekstremalnych warunkach – mówi Mirosław Pastor, specjalista ds. oświetlenia przenośnego w Mactronic.

Potężna moc, wysoka trwałość

Debiutujące na rynku latarki zwracają uwagę przede wszystkim potężną mocą – oferując odpowiednio 1100 i 1300 lumenów (najmocniejsza oświetlenie w serii). Modele różnią się przede wszystkim pod względem zasięgu i czasu pracy. Zasilane akumulatorem 2600 mAh oferują odpowiednio 270 metrów zasięgu i do 40 go-

dzin pracy (Black Eye 1300) oraz 245 metrów i do 100 godzin pracy (Black Eye 1100). Co je wyróżnia pod kątem rozwiązań technologicznych?

- 4 tryby pracy – w tym tryb stroboskopowy
- Wykonanie z aluminium lotniczego
- Odporność na wilgoć, pył i błoto (IPX6)
- Zapamiętywanie ostatniego trybu
- Ładowanie przez port micro USB

- Klips umożliwiający przypięcie latarki do krawędzi spodni lub paska

- Dodatkowo nowe modele wyposażono w opcję *Double click* – wystarczy podwójne kliknięcie włącznika, by błyskawicznie przełączyć się do najwyższego trybu, gdy potrzebujemy rozświetlić otaczającą nas przestrzeń – dodaje Mirosław Pastor z Mactronic.



**panele
podłogowe**

z montażem **GRATIS**
na terenie całego kraju

www.swiatpaneli.com



Świat Paneli

Selfiestick 2.0



Wraz z pojawieniem się technologii cyfrowych, ludzie uzyskali możliwość robienia nieskończonej liczby zdjęć, by uzyskać ujęcie idealne nie tylko otoczenia lub innych, ale – co było na swój sposób nowością – samego siebie. Samo określenie „selfie” zaczęło być używane do określenia takich autoportretów na początku XXI wieku. Uwrażliwieni na trendy producenci sprzętu, przedstawiali coraz to nowsze pomysły na dogodzenie fanom selfies – poprzez pierwsze smartfony, telefony z przednim aparatem, czy też aparaty kompaktowe z obrotowym wyświetlaczem. Trend nabrał niewyobrażalnych rozmiarów wraz z rozwojem social mediów, a „selfie” zostało ogłoszone słowem roku 2013 przez Oxford Dictionary.

Nie dziwi zatem fakt, jak wielką rewolucją okazał się selfie stick – teleskopowy statyw, na którym umieszcza się smartfona, celem zyskania dodatkowej odległości w trakcie robienia zdjęć i kręcenia filmów. W roku 2014 selfie stick pojawił się on na liście najlepszych wynalazków magazynu Time.

https://www.youtube.com/watch?time_continue=39&v=tzaj6gKXWis

Rozwój technologii wciąż trwa, a konsumenci wypatrują jeszcze lepszych i bardziej praktycznych nowinek. FeiyuTech, producent elektronicznych stabilizatorów do smartfonów, kamer sportowych i aparatów cyfrowych postanowił stworzyć urządzenie, które połączy zalety gimbała i selfie sticka.

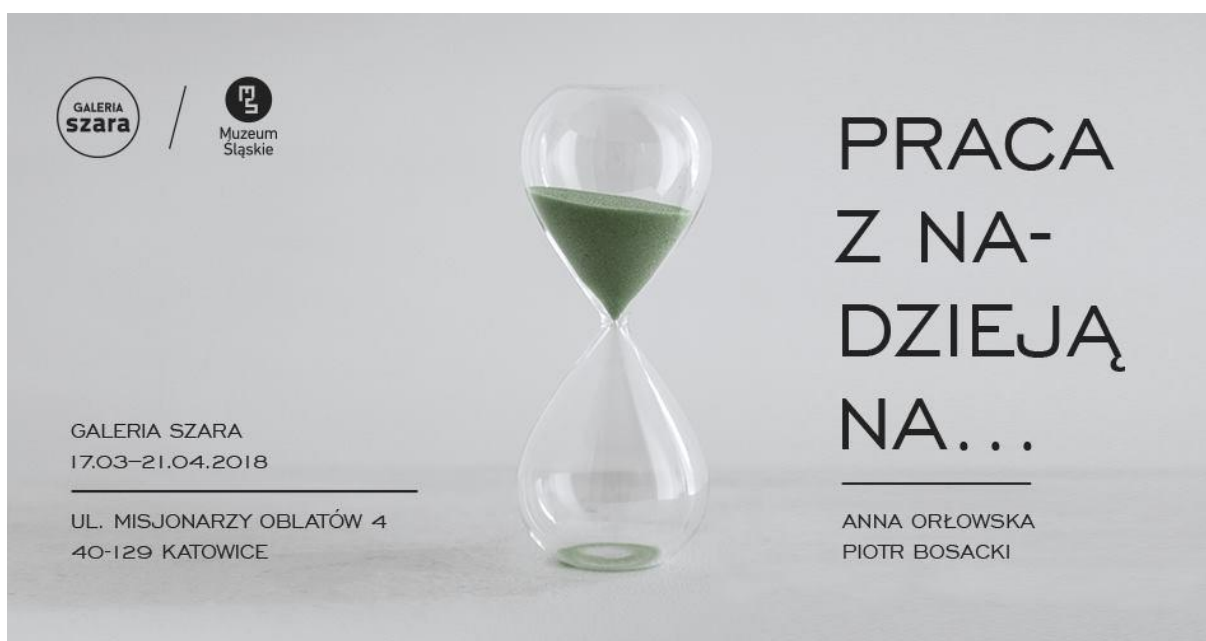
Tak powstał Vimble 2 – gimbał z wysuwającym ramieniem, który pozwala nagrywać płynne ujęcia w ruchu, przywodzące na myśl profesjonalne produkcje filmowe. Co więcej po dokręceniu do podstawy rękojeści małego statywu, sparowaniu gimbała z aplikacją na smartfonie i włączeniu trybu śledzenia twarzy, gimbał będzie płynnie obracał się, utrzymując nagrywaną osobę w środku kadru! Można śmiało stwierdzić, że pojęcie selfie nigdy dotąd nie zawierało w sobie tak wielu możliwości.

Więcej informacji:

www.feiyu-tech.pl

www.instagram.com/feiyutech

www.facebook.com/FeiyuTechPolska



GALERIA szara / **Muzeum Śląskie**

PRACA Z NA-DZIEJĄ NA...

**ANNA ORŁOWSKA
PIOTR BOSACKI**

GALERIA SZARA
17.03–21.04.2018

UL. MISJONARZY OBLATÓW 4
40-129 KATOWICE

Extreme Media - zawsze naładowany telefon

Extreme Media UPB-1220 to bezprzewodowy power bank o pojemności akumulatora wynoszącej 10 000 mAh. Jego niewielkie rozmiary i waga umożliwiają bezproblemowe przenoszenie sprzętu. Jak deklaruje producent urządzenie wykonano z wytrzymałych materiałów. Estetyczna obudowa i minimalistyczny design sprawiają, że urządzenie może przypaść do gustu bardziej wybrednym użytkownikom.

UPB-1220 pozwala szybko naładować kilka urządzeń jednocześnie. Za prędkość ładowania odpowiadają dwa wyjścia USB (5V/2A), a za ilość opcja ładowania bezprzewodowego 1A. Użytkownik może też w każdej chwili sprawdzić poziom naładowania power banku - o tym sygnalizują diody LED.

Power bank Extreme Media UPB-1220 posiada zabezpieczenia przeciwprzeciążeniowe i przeciwprzepięciowe, dlatego użytkownik nie musi martwić się o bezpieczeństwo podłączonego smartfona czy tabletu. Wytrzymałość akumulatora w UPB-1220 została określona przez producenta na ponad 500 cykli ładowania.

Sugerowana cena produktu wynosi 99 zł.

Specyfikacja:

- Pojemność akumulatora: 10 000mAh
- Typ baterii: Li-Polimer



- Prąd wejściowy: USB 5V/2A
- Prąd wyjściowy, wyjście 1: USB 5V/2A
- Prąd wyjściowy, wyjście 2: USB 5V/2A
- Ładowanie bezprzewodowe: USB 5V/1A
- Wytrzymałość: ponad 500 cykli
- Wymiary: 160 x 74 x 13 mm

KUCHNIA POLSKA

tradycja - smak - współczesność

Zachwycająca kombinacja smaku
i tradycyjnej polskiej sztuki kulinarnej



Zapraszamy do Restauracji Ibiza

ul. Główna 100, Ludwikowice Kłodzkie, tel. 746604001